

TYGODNIK ILLUSTROWANY

SOSNA



STANISŁAW
MASŁOWSKI

Z wystawy specjalnej
w Salonie T. Z. S. P.

H. NUSBAUM:

Polacy a Żydzi.

Ankieta Tygodnika Ilustrowanego.

I.

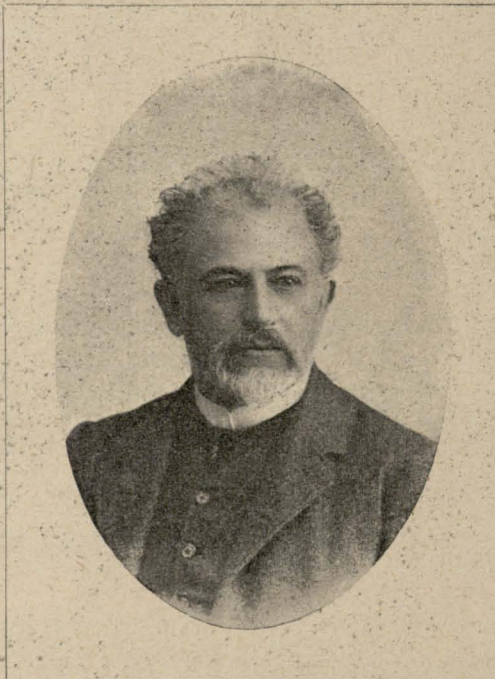
Szanowna Redakcja *Tygodnika Ilustrowanego* zaszczyliła mnie prośbą napisania słów kilku w sprawie żydowskiej, w sprawie niezmiernie drażliwej, zawikłanej, trudnej, a która dzięki postawie kilku piśm żargonowych weszła obecnie w okres niemałego rozjątrzenia. Sprawę tę rozpatrywać można z punktu widzenia dziejowego lub współczesnego tylko, a w tym ostatnim przypadku można mieć na widoku albo pogłębienie poglądu na istotę stosunków w chwili obecnej, albo też, przyjmując, że zasadnicze cechy stosunków w chwili obecnej są nam znane, dążyć li do znalezienia sposobów zmiany stosunków istniejących na lepsze. Dzieje stosunków żydowsko-polskich zupełnie tu pominiemy, rzecz bowiem historyzofa może być sądzenie win lub zasług przeszłości; pragnąc wszakże łagodzić zatargi dnia dzisiejszego i osiągnąć zgodę możliwą, niebezpieczną jest rzeczą do wątpliwości i pretensji współczesnych doliczać wątpliwości, pretensje przeszłości.

Faktem jest, że w łonie nieszczęśliwego narodu polskiego żyje nieszczęśliwa ludność żydowska, i równie faktem jest niewątpliwym, że, biorąc rzeczy najogólniej, Aryjczyków i Semitów tej ziemi nie wiążą węzły sympatii, owszem, raczej dzielą je liczne duchy złośliwe: nieufności, pogardy, nienawiści.

Prawdą jest niezbitą, że wrogie pożycie dwu nawskroś pomieszanych z sobą plemion wychodzi na złe każdemu z nich, a wniosek stąd niewzruszony, że oba dążyć winny, w dobrze rozumianym interesie własnym, do poprawy, a nie do jątrzenia stosunków. Na tym punkcie żadna ze stron, w mowie będących, nie może o sobie powiedzieć: jestem w zupełnym porządku. A jednak my, Polacy, jesteśmy celem tylu wrogich, z zewnątrz idących przeciw nam prądów, że, niedostatecznie mocni w obronie na zewnątrz, winniśmy myśleć bardzo pilnie i działać bardzo rozważnie, aby osłabiać prądy świadomie czy nieświadomie nam wrogie, w łonie naszym czynne. My zaś, Żydzi, tak skrępowani jesteśmy ograniczeniami prawodawczymi, i tyle jest psychologicznych czynników, które nie czynią nas bynajmniej szczególnie sympatyczną ludnością wśród wszystkich narodów globu ziemskiego, o czym chyba doskonale wiemy, że baczyć winniśmy troskliwie na to, aby, nie dosyć mocni do zwalczania ciążących na nas ograniczeń prawodawczych, nie *pracować dobrowolnie nad zwiększeniem* niechęci ku nam ludności innowierczej i innoplemiennej, wśród której dano nam żyć.

Nie będę tu uzasadniał tezy, iż pojęcie wiary i rasy nie mieści w sobie wcale pojęcia narodowości, niemniej z całą stanowczością ją podtrzymuję. Jestem urodzony w wierze mojżeszowej i należę do rasy semickiej, niemniej jestem z narodowości *Polakiem*. Nie

ośmieliłbym się zajmować osobą moją czytającej publiczności; wszakże ludzie, zabierający głos w żywych sprawach społecznych, w sprawach zwłaszcza, gdzie z istoty rzeczy wchodzi w grę i przekonania, i uczucia, są poniekąd obowiązani jawne i szczerze złożyć wyznanie nie tylko przekonani swych, ale i uczuć. Kochać nie jest przymiotem, ale stanem duszy, przyznawać się do kochania nie jest przyznawaniem sobie zasługi, a kochanie prawdziwe wznosi się nawet do tolerowania braku wzajemności; przyznanie się do kochania nie może też być objawem zarozumiałości. Wyznaję przeto, iż wielu jest niewątpliwie w ojczyźnie mojej obywateli, dużo, dużo ode mnie rozumniejszych, dużo ode mnie ucześniejszych, dużo ode



Henryk Nusbaum.

mnie cnotliwszych, ale nie masz, i to twierdzą z całą stanowczością, *ani jednego*, któryby goręcej ode mnie pragnął pomyślności, wielkości, sławy, tryumfów ducha i blasków geniuszu narodowego Polski... I dlatego, że tak kocham Matkę naszą wspólną, i dlatego, że cierpię Jej cierpieniem i pieszczę się myślą Jej powodzeń przyszłych i w imię tych uczuć synowskich nie waham się współbraćiom, w różnej ze mną wierze zrodzonym, powiedzieć szczerze, gdzie widzę ich winę, że sprawa żydowska tak na ziemi naszej rozpaczliwie się rozwija, i gdzie widzę drogę, po której krocząc, przybliżaliby się do pomyślnego sprawy tej rozwiązania.

Kochanie nie jest przymiotem, ale stanem duszy, i nie może być ani zasługą, ani winą. Otóż zapewniam wszystkich moich braci po wierze i pochodzeniu, wszystkich syonistów i nacjonalistów i z Litwy tu przybyłych i ortodoksów tutejszych, iż wielu wśród was być może dużo więcej ode mnie umysłowo uzdolnionych, ucześniejszych, cnotliwszych, ale nikt z was goręcej ode mnie nie odczuwa męczeństw i upokorzeń, jakie Izraela dzieci przez lat tysiące przecierpiały, nikt z was bardziej ode mnie nie pragnie, aby kres co rychlej nadszedł męczeństw tych i upokorzeń, nikt z was bardziej nie pragnie, aby najświetniejsze perły starożytnej kultury hebrajskiej i te promienie świetlane, które aureolą jasności z każdego wyłaniają się

męczeństwa, nie zginęły w chórze wielkich dźwigni kulturalnych ludzkości, nikt z was bardziej nie pragnie, aby ciemne masy proletariatu żydowskiego wzniosły się na wyżynę kultury europejskiej, i dlatego, że tak gorąco pragnę wyzwolenia dzieci Izraela z otchłani ciemnoty, z areny upokorzeń, z więzów ograniczeń prawodawczych i z brzemienia nieufności społeczeństw, nie waham się w imię tych pragnień, z miłości płynących, współurodzonym ze mną w jednej wierze ze szczerością powiedzieć, gdzie widzę ich winę, że sprawa żydowska tak rozpaczliwie na ziemiach polskich się rozwija, i gdzie widzę drogę, po której krocząc, przybliżaliby się do pomyślnego sprawy tej rozwiązania.

Słyszę tu przekorne pytanie gorącego nacjonalisty-Żyda:

— Jeżeli tak gorącym jesteś pan patriota, a przytem kochasz współwierców swoich, proszę mi kategorycznie odpowiedzieć: jeśli spotkasz chrześcijanina i Żydą, równie nędzą dotkniętych, a byłbyś w posiadaniu jednego tylko grosza, którego byś z dwu tych nędzarzy wsparł?

Jeśli bym na to rzekomo realne, a w gruncie rzeczy utopijne pytanie miał odpowiedzieć, to powiem, że, gdyby dwaj ci nędzarze i wiekiem, i zdrowiem, i stosunkami rodzinnymi, i wartością moralną naprawdę w bezwzględnie jednakich pozostawali warunkach i gdyby ja był naprawdę pozbawiony posiadania wszelkiej rzeczy, prócz jednego grosza, to oddałbym grosz ten... chrześcijaninowi; a dlatego bym tak uczynił, że pragnąłbym, aby w takich samych warunkach chrześcijanin grosz oddał Żydowi. Bo taką być winna zasada etyczna, i tylko taka altruistyczna zasada obronić może realnie interesy egoizmu. Myśl tę możnaby szeroko bardzo rozwinąć na tle różnorodnej kazuistyki, pominąć to wszakże muszę w ramach niniejszego artykułu.

A teraz do kogo mam się naprzód z uwagami krytycznymi zwrócić? Ponieważ piszę na łamach pisma chrześcijańskiego, najslabsze chyba poczucie taktu wskazuje, iż z krytycznymi uwagami w pierwszym miejscu zwrócić mi się wypada do moich współwierców.

Jeszcze jedną tu ogólną zaznaczę uwagę.

Pomimo modnych dziś ultra-demokratycznych haseł, które stawiać zwykły szerokie masy proletariatu na wysokim piedestale pod względem wszelkich dodatnich wartości, a nawet przypisywać im wyłączną umiejętność i możność sterowania własnymi interesami, to jednakże w rzeczywistości masy proletariatu są dotąd tak wcale nieświadomione, a uświadomione rzekomo są niemi w tak ciasnym zakresie, że dziś jeszcze, niewątpliwie, wola tłumu to wyraz woli przywódców jego a tam, gdzie tłum zdaje się ściągać na siebie winę, wina spada na przywódców. Zaprawdę, niepowodzenia i klęski masy ludności żydowskiej spadają na głowę ich proroków, i do nich zwrócone są słowa niniejsze.

Oby udało im się oddziaływać na przekonania tych, którzy się myślą, na sumienia innych, aby co rychlej się pokajali!

WŁ. ST. REYMONT:

Z ZIEMI CHEŁMSKIEJ

WRAŻENIA I NOTATKI.

III.

Dla pełności obrazu opowiem jeszcze, chociaż tylko w streszczeniu, dzieje unickiej wioski Hrud, położonej niedaleko Białej podlaskiej, na drodze do Janowa.

Hrudy najwcześniej na Podlasiu, bo jeszcze w roku 1867, wzięły pierwsze cięgi za uparte trwanie przy unii. Było to wtedy, kiedy „Misyja Bialska” jeszcze prywatnie, jakby tylko z apostolskiej gorliwości, próbowała oczyszczać cerkiew unicką z polskich i łacińskich naleciałości. Nieszczęściem dla Hrud było to, że leżały za blisko owej „Misyji”, musiały się więc stać jakby polem doświadczalnym dla siewców „czystej i jedynej prawdy”. Ale grunt okazał się dziwnie jałowy i, pomimo bardzo obfitego umierzwiwania krwią, nie wydał oczekiwanych plonów. A nawet przeciwnie, gdyż stał się źródłem zaraźliwej gorączki „uporstwa”, jaka wkrótce ogarnęła całą Chełmszczyznę.

Zaczęło się, jak odtąd miało się już zaczynać na Unii, od wyrzucania z cerkwi polskich śpiewów, kazań, organów, świętych obrazów i dzwonów.

Ale lud natychmiast przywrócił cerkiew do dawnego stanu i śpiewał dalej po polsku, bo tylko polskie kościelne pieśni umiał, modlił się przed obrazami, słuchał ze wzruszeniem organowych głosów i polskich kazań, bo tak było za jego dziadów i pradziadów, bo tylko takie nabożeństwo rozumieli; albowiem te śpiewy, kazania, obrazy, procesje wśród bicia dzwonów, kadzielnich dymów i brząających organów były i są jakby organiczną częścią jego wierzeń religijnych, jego wzruszeń serdecznych i jego umiowań.

Nie obroniło to ich od nowego zamachu na cerkiew, gdyż w lipcu tegoż roku próbowano narzucić im nowego, posłusznego proboszcza.

Przywiózł go sam Marceł Popiel, prawie już biskup chełmski, w towarzystwie błogoczynnego Kalinowskiego i sporego orszaku strażników, dla uświetnienia uroczystości.

Ale lud otoczył cerkiew nieprzebytym wałem i nie wpuścił do niej nikogo.

Nie pomogły długie i żarliwe namowy, lud nie dał się przekonać i nie ustąpił.

Popiel odjechał rozgniewany i groził strasznymi karami za nieposłuszeństwo.

Chłopi czuli, co ich czeka, i z determinacją pochylali głowy przed Dolą.

Jakoż w końcu września zjawiła się we wsi sotnia kozaków, a za nimi przemaszerowała rota piechoty i rozkwaterowała się po chałupach.

Całe dwa miesiące zabawiali się na koszt Hrud.

I przez całe dwa miesiące wszyscy, którzy posiadali konie, musieli jeździć na podwozy po całym powiecie, a reszta mieszkańców była pędzona od świtu do nocy na drogi, do zgarniania kamieni i błota, kopania niepotrzebnych rowów i wysypywania żółtym piaskiem głównego gościńca.

A tymczasem pola leżały odłogiem, nie było czasu ni orać, ni siać, ni nawet wykopać ziemniaków, które gniły, gdyż jesień była wielce mokra, wieś niszczała coraz bardziej,



Stara cerkiewka nad Bugiem. Rys. H. Gumiński.

inwentarze dawały szyje pod nóż sołdacki, stodoły pustoszały, bo kozacy paśli swoje konie tylko czystym zbożem, płoty szły na ogień, a skoro ich zbrakło, to i drzwi z chałup, i pomniejsze budynki, i nawet drzewa ze sadów.

I na zakończenie Hrudy zapłaciły jeszcze kontrybucję, paru gospodarzy poszło na parę miesięcy do więzienia, a dawnego proboszcza, księdza Terlikiewicza, wywieziono.

Wreszcie wieś odetchnęła, goście odeszli, parę lat przeszło spokojnie, a tylko w ciężkiej pracy [dorabiania się, jakby po strasznym pożarze.



Biskup chełmski Eulogiusz, twórca projektu wyodrębnienia ziemi chełmskiej.

Cerkwi jednak wciąż strzegli, jak oka w głowie, strażę czuwały dzień i noc.

W roku 1871, w sam dzień „Zwiastowania”, zjawił się najniespodziewaniej nowy, „ukazowy” proboszcz, niejaki Starosielec, w towarzystwie błogoczynnego Kalinowskiego, i gwałtem chcieli zawładnąć cerkwią, lecz chłopci znowu ją otoczyli lasem roztrzęsionych pięści i groźnie krzyczeli:

— Jeżeli nie wróci ksiądz Terlikiewicz, to innego nie potrzebujemy.

Wobec ich zdecydowanej postawy Starosielec wyniósł się bardzo pośpiesznie.

Ale nazajutrz powrócił w licznej asyście strażników.

I porę wybrali sobie najodpowiedniejszą, bo po południu, kiedy wszyscy ludzie byli przy żniwach daleko za chałupami, a we wsi zostały tylko dzieci i starce, drzemające po sadach. Na szczęście ten, który stróżował przy cerkwi, zobaczył całą kawalkatę, wyjeżdżającą z lasów, i, poczuwszy niebezpieczeństwo, zaczął dzwonić na trwogę.

Na polach podniósł się straszny wrzask i lament, kto tylko żył, chwycił, co mu tylko wpadło w garście, i leciał na obronę.

Tamci zaś, zrozumiałwszy, że ich spostrzeżono, pędzili do wsi, co tylko konie miały tchu, prędeż dopadli kościelnego cmentarza i zaczęli łamać wrótne, ale nie zdążyli jeszcze dostać się do środka, gdy chłopci runęli na nich z ogromnym krzykiem i rozmiotli, że uciekali chyłkiem, opłotkami, jak spłoszone jastrzębie.

Starosielec nie dał jednak za wygraną i w parę dni później znowu powrócił, ale już w otoczeniu całych dwóch sotni...

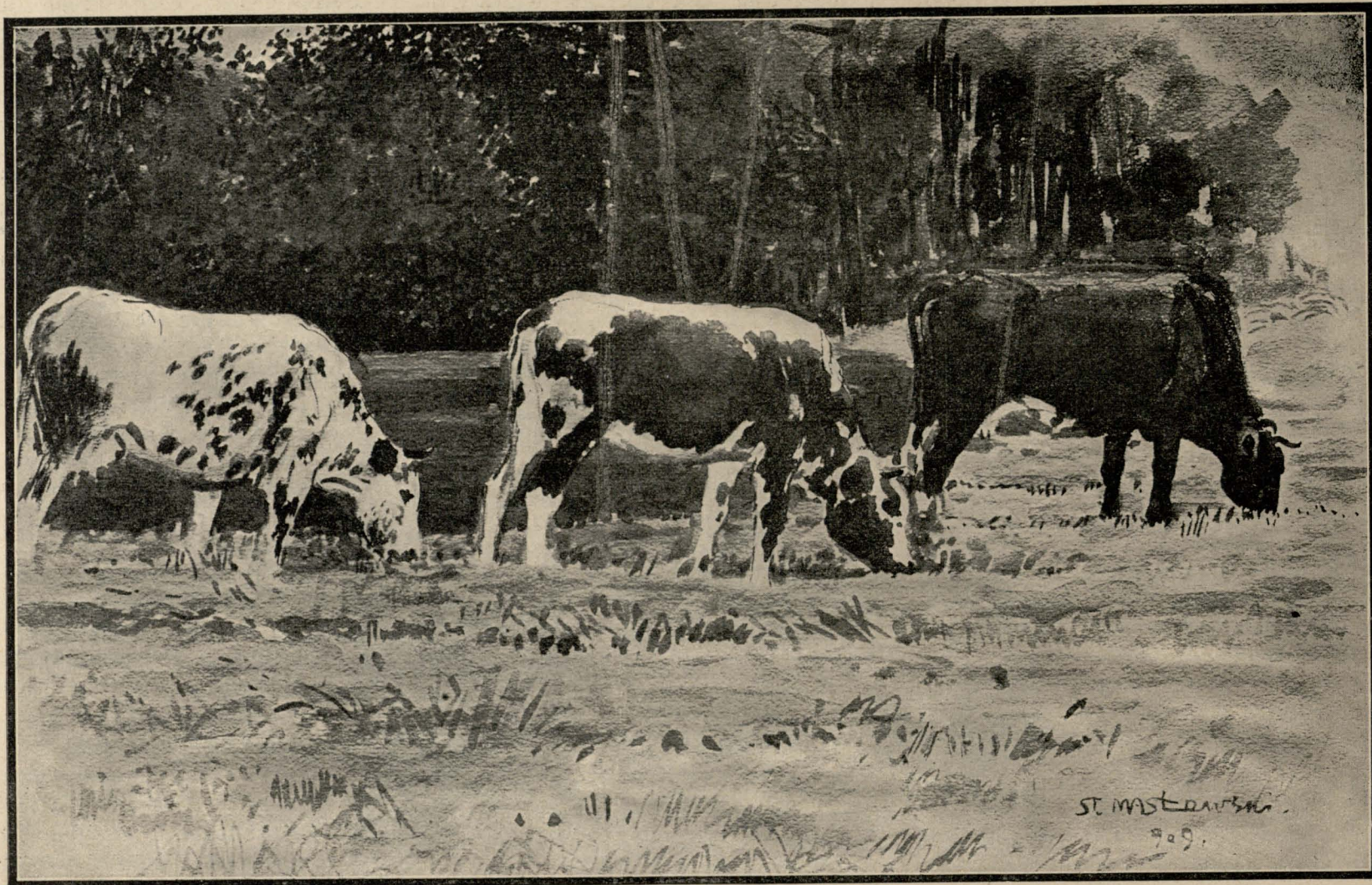
Wchodzili do Hrud tryumfalnie, z muzyką i śpiewami, od których chłopom cierpła skóra i, chociaż się zegnali rozdygotanymi rękami, stanęli jednak nieulekłe w obronie swojej cerkwi, tylko że opór trwał już bardzo krótko; szarża, piki, naboje, końskie kopyta wnet utorowały drogę „narzutowi”, który też ostatecznie objął parafię w swoje posiadanie, a wojsko rozłożyło się, starym zwyczajem, po chałupach i odpoczywało przez całe ośm tygodni.

A kiedy wreszcie odeszli, to w Hrudach nie zostało ani jednych całych pleców, ani jednej szyby, płota i drzwi, a w każdej chałupie był szpital i sieroty, gdyż pięciu gospodarzy wraz z rodzinami popędzono w ślady księdza Terlikiewicza.

Nastąpiło parę lat przerwy, pogoiły się plecy, wyrównały się szczyrby w dobytku, obeschły nawet łyzy, nie zginęła tylko pamięć o wywiezionych, ich puste, pozabijane deskami chaty i pola, leżące odłogiem, których się nikt nie powazył tknąć, leżały wciąż na oczach, i były, niby niemy krzyk wiecznej pamiętnej krzywdy!...

Nadszedł 1874 rok, pamiętny na zawsze, rok zniesienia Unii.

Naturalnie, że nie zapomniano i o Hrudach. Nawracano je przez cały tydzień, i przez



NA PASTWISKU (z wystawy specjalnej w Salonie T. Z. S. P.)

STANISŁAW MASŁOWSKI

cały tydzień brzmiały apostołskie napomnienia, przeplatane świstem nahajek i jękami.

Siew był żarliwy, żniwo znojne, omłot pracowity, ale plon niezmiernie lichey...

Hrudy nie dały się nawrócić z odwiecznych błędów i pozostały zatwardziałe „uporstwujuszczymi”, ale zapisano je do panującego kościoła i pozostawiono pod opieką praw specjalnych i strażników.

Życie poczyło się zwykłą koleją, puste chałupy wciąż czekały na swoich gospodarzy, sieroty na ojców, a pokrzywdzeni na sprawiedliwość; siano jednak, orano i sprzątno, jak zwykle, tylko że wieś stała się podobna do cmentarza, nikt już nie zaśpiewał, nie tańczył i nie weselił się, zapomnieli się nawet śmiać; ludzie przesuwali się, jak cienie, bladzi, wynędzniali, śmiertelnie smutni i przeżarci nędzą i cierpieniami, a zawsze gotowi na nowe cierpienia i nowe ofiary dla sprawy.

Z cerkwią i plebanią przerwały się wszelkie stosunki, odwrócili się od nich na zawsze, bo tam już panował obcy język, obca wiara i ludzie obcy; niczyja noga już nie powstała nawet na przycerkiewnym cmentarzu.

Modlili się po domach, skrycie, albo po lasach, gdzie zbierano się na uroczyste nabożeństwa, dzieci chrzczono tylko z wody, tymczasowo, zmarłych grzebano pokryjomu, nocami, starannie równając mogiły z ziemią, żeby ich strażnik nie dostrzegł i nie nakazał pochować nieboszczyka po raz drugi, a według nienawistnego im obrządku, małżeństw nie

zawierali dla tych samych powodów, ślubów t. zw. „krakowskich” jeszcze wtedy nie było. Narzuconej im cerkwi nie chcieli, a do kościoła nie było wolno, czekali więc ufnie i cierpliwie na odmianę straszego losu, znosząc tymczasem tysiączne przykrości od władz.

Żyli pod ciągłym strachem i groźbą, zdani na łaskę i niełaskę strażników, żyli, jakby wyłączeni ze społeczności, niby stado dzikich zwierząt, odgródzone od świata i ludzkiego życia nieprzebytym gąszczem praw, zakazów, sztrafów i więzień.

A pomocy nie było znikąd. Przed „opornym” zamykały się wszystkie drzwi, uciekano przed nimi, jak przed zadumionymi, wypędzano ich nawet z kościołów, strach szedł przed nimi, a czujne oczy za nimi. Ale, chociaż rany bolały ich podwójnie, chociaż jadła ich nędza, sztrafy odbierały ostatni kęs chleba, prześladowania gnębiły, chociaż odstąpili ich ludzie, walczyli jednak dalej w ponurem osamotnieniu, walczyli do ostatniego tchnienia o prawdę umiłowaną, dla której już znieśli wszystko i wszystko jeszcze byli gotowi przecierpieć.

(DCN)



WIKTOR GOMULICKI:

SPŁOWIAŁE KARTKI.

Odlatując, gdy skrzydła szerokie rozwinę,
Ciebie unieść-bym pragnął w wiecznych
snów krainę.

Ty mi niebo zawarte tknięciem rąk otworzysz,
Ty mi niebo, gdziekolwiek dostanę się,
stworzysz.

Z tobą szczęście, którego język nie wypowie,
Z tobą jasność—bez ciebie mroki i pustkowie.

Niestety! gdy ja duchów przybiorę już postać,
Ty będziesz w tej nizinie musiała pozostać.

Na ziemi, więc—ziemianka; w ciele, więc—
cielesna...

I śmierć moja, choć późna, będzie nazbyt
wczesna!

Pókiśmy żyli razem, byliśmy jednością,
Ale świat psuje dusze życia przemiennością.

Kiedy się już zatrzaśnie za mną śmierci brama,
Ty może do mnie przyjdiesz—lecz, ach!

czyż ta sama?...



ZAGON WIEJSKI (akwarela, z wystawy specjalnej w Salonie T. Z. S. P.)

STANISŁAW MASŁOWSKI

BOLESŁAW PRUS:

Nasze obecne położenie.

KRONIKA TYGODNIOWA.

IV.

Nie należę do najostatniejszych patriotów, lecz—Bóg mi świadkiem—że tej uroczystości, tej uciechy nie jestem w stanie zrozumieć. Bo tylko przypatrzmy się, jak sprawa wygląda. Pięćset lat temu połączeni wojownicy polscy, litewscy i ruscy zmiażdżyli armię bandytów, mianujących się „rycerzami Maryi” i zapewnili bezpieczeństwo wschodniej Europie na czas dłuższy. Dobrze wówczas zrobili sprzymierzeni, cześć ich pamięci! Cóż jednak dziś widzimy? Na miejscu zakonu Krzyżaków wyrosły Prusy, których biurokracja nie tylko przyswoiła sobie główne ideały krzyżackie, ale jeszcze odegrała pierwszorzędną rolę w Europie i dusi wolność, zatrąwa cywilizację, gdzie może. Zwycięzcy przed pięćmaset laty, Polacy są dziś w pewnej części niewolnikami swoich niegdyś hołdowników, a sprzymierzeni z nimi Litwini i Rusini nienawidzą nas z całej duszy. I nie dość, że nienawidzą. Jest gorzej, gdyż Rusini dobrowolnie podjęli się spełniać funkcję pruskiego narzędzia w walce z Polakami!

I taki przebieg wypadków ma nas cieszyć?... Należałoby raczej odziać się w wory, posypać głowę popiołem i wołać: Panie, Panie... za coś nas opuścił?... A Pan zapewne odpowiedziałby: Ja wiem, za co.

Dodajmy, że we wszystkich tego rodzaju uroczystościach ogromny, jeżeli nie przeważny, udział, bierze młodzież. Dzięki czemu marnu-

ją się setki tysięcy godzin, nie użytych na pracę naukową, ażeby za tę cenę nasycić młode umysły wiarą we wszechwartość poezji, hodować cześć dla wojny, a może zasiewać w młodych, szlachetnych sercach zarazę nacjonalistyczną.

My nie potrzebujemy uczyć się sztucznymi sposobami patriotyzmu, gdyż od stu lat z górą po każdym uderzeniu batem politycznym słyszymy jedno i to samo: jesteście Polacy!... jesteście Polacy!... jesteście Polacy!... My też naprawdę jesteśmy Polakami, i żadne obchody zwycięstw czy klęsk nie wzmocnią ani osłabią w nas tego uczucia. Nie słodki to dziś kawałek chleba owa polskość, ale niech już będzie, jak jest.

„Mamy we Francji pisarzy—mówi J. Puyot—usprawiedliwiających wojnę: ci sami uwielbiają dzieła dumy, próżności, błyskotliwości; oni też wychwalają rozmaitych pozerów i wielkich burzycieli świata. A tymczasem, gdy wojenni krzykacze wyprawiają swój hałas bezpożyteczny, zbierając oklaski bezmyślnego tłumu, mędrcy i działacze istotni prowadzą dalej pracę twórczą.

„Prawdziwymi patriotami są ci, którzy wychowują dzieci tęgie i odważne; którzy sami stają się codziennie rozumniejszymi, dzielniejszymi, sumienniejszymi; którzy własne życie robią pełniejszym, wyższym, piękniejszym: oni to w dniu niebezpieczeństwa potrafią spełnić swój obowiązek. Więc nie mieszajmy tych, którzy miotają się i hałasują, z tymi, którzy pracują. Odwaga jest tą samą we wszelkich okolicznościach życia, a na wojnie ci tylko potrafią być odważnymi, którzy odważnie spełniają swoje obowiązki codzienne. Oni to są dobrzy obywatelami, oni prawdziwymi patriotami, i oni stanowią rzeczywistą siłę Francji”.

Uwagi te najzupełniej stosują się i do naszego społeczeństwa.

Powróćmy do kwestyi uspołecznienia wogóle. Odróżnić w niej można trzy momenty, czy elementy: człowieka i jego najbliższych, naród i—cywilizację, które elementy powinny być ze sobą w doskonałej harmonii, czyli zawsze wspierać się, nigdy nie walczyć ze sobą.

Otóż w naszym społeczeństwie harmonia ta mocno osłabła. Posiadamy coraz więcej osobników, które szkodzą ogółowi, na przykład: rozmaitego rodzaju przestępców kryminalnych, próżniaków, utracuszków, wicherzycieli i demoralizatorów. Jedni mordują, lub grabią pieniądze, inni podcinają moralność, szyczą z patriotyzmu, propagują świadomie czy nieświadomie beznadziejny pesymizm. Ojczyzna, religia, rodzina, własność, godność, bezpieczeństwo osobiste jest w naszych czasach daleko częściej podkopywane, aniżeli miało to miejsce za naszych ojców i dziadów, za naszej młodości, a nawet przed kilkoma laty.

Choroby społeczne nie stanowią zjawisk nadzwyczajnych; trafiały się zawsze i wszędzie. I nie sam fakt ich istnienia jest groźny: niebezpieczny jest brak środków leczniczych i zapobiegawczych. Każdy organizm posiada w sobie siły lecznicze; zły więc to jest znak, jeżeli one nie oddziałują.

U nas już istnieje poczucie, a nawet świadomość, że jesteśmy chorzy: rozlegają się głosy ostrzegające, istnieją usiłowania ratunkowe, choćby w postaci towarzystw, występujących przeciwko pijaństwu, rozpuście, karciarstwu. Zaczęły się jednak próby nie są dość obszerne, nie ogarniają tego, co można nazwać higieną moralną społeczeństwa.

Ażeby oddziaływać na jakiś przedmiot czy zjawisko, trzeba je znać: otóż—czy my

znamy samych siebie, nasz naród i cywilizację? W Zachodniej Europie i w Stanach Zjednoczonych, z pewnym przybliżeniem, jest wiadoma średnia długość życia ludzkiego, chorobliwość, siły muskularne ludności, a dalej: choroby umysłowe, przestępczość, zamożność, pokarmy, mieszkania i t. d. I jeszcze więcej—dziś bowiem istnieją rozległe badania nad młodzieżą szkolną, pod względem dokładności zmysłów, pamięci, uwagi, szybkości myślenia, co u nas dopiero zaczyna się dzięki usiłowaniu pp. Dawida, Szczygłowskiego, Stefanowskiej i może jeszcze kilku innych czcigodnych badaczy i badaczek.

Krótko mówiąc, nasza świadomość narodowa jest bardzo nie rozwinięta, gdyż brakuje nam naprzód—porządnej statystyki społecznej, powtóre—rozległych badań psycho-fizjologicznych nad jednostkami. I gdyby nam kto zarzucił: wy, Polacy, upadacie nie tylko pod względem ekonomicznym i oświatowym, ale nawet fizjologicznie i umysłowo—nie umielibyśmy ani zwalczyć tego sądu, ani go potwierdzić.

Nie lepiej stoimy pod innymi względami. Nie posiadamy naprzykład popularnej historii cywilizacji, nie cieszy się u nas poczytnością taka niezmiernie ważna nauka, jak etyka, nie zajmujemy się socjologią. Słusznie woła p. I. K. Dworzaczek: „Nauki społeczne w niepojętym znajdują się u nas zaniedbanie!”... (*Zagadnienia społeczne*). Naprawdę w wielkim zaniedbaniu, pomimo że coraz częściej spotykamy w pismach artykuły, poruszające kwestie społeczne...

Taki mniej więcej jest obraz naszych wiadomości o nas samych i o cywilizacji; nie o wiele lepsza jest praca w tej sferze zjawisk.

Fundamentem wszelkiej działalności obywatelskiej jest—*wychowanie*, które polega nie na nauczaniu się języków, matematyki, muzyki, ale na wytwarzaniu charakterów.

Mówimy o człowieku, że ma dobry charakter, jeżeli 1-mo posiada wolę, i 2-do jeżeli ta wola działa pod kierunkiem ideałów, według uczciwych zasad. Energia, rozsądek, panowanie nad sobą, sprawiedliwość, prawdomówność, odwaga nie tylko w mowie, nie tylko wobec przykrości i niebezpieczeństw, ale jeszcze odwaga w uczuciach i myślach... oto cechy dobrego charakteru. Dobry charakter w społeczeństwie jest niby zdrowa belka lub dobrze wypalona cegła w budowlu. Społeczeństwa żyją i rozwijają się tylko dzięki dobrym i wielkim charakterom, a giną skutkiem przewagi złych...

Otóż w naszym narodzie spotykamy zjawisko niesłychanie smutne, prosto przerażające: brak wychowania. Pracujemy po kilka godzin dziennie nad fortepianem, bardzo starannie uczymy się tańcować, jeździć konno, ślizgać się, szyc obuwie i odzież, wyrabiać sprzęty i zamki. I rozumiemy, że na zdobycie tych wpraw trzeba poświęcić dużo sił, czasu, uwagi, dobrych chęci i t. p. Natomiast, gdy chodzi o wyrobienie charakterów, nie uczymy się niczego, nie wykonywamy żadnych ćwiczeń, a spotkawszy jakiś traktat etyczny, niechętnie odsuwamy go na bok, mówiąc:

— Już minęły czasy nudnych morałów i praktyk ascetycznych!...



DRUCIARCZYK

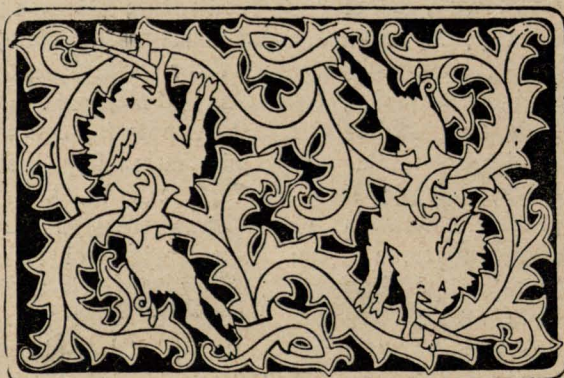
A. KĘDZIERSKI

O ukochana młodzieży polska! mów sobie, co chcesz, stosuj się do sezonowej mody, drwij ze starych zacofańców, ale—szanuj moralność i nie żartuj z tak zwanego ascetyzmu, czyli z panowania nad sobą. Naród bowiem, który wyparłby się etyki, byłby próchnym, a naród, którego obywatele nie umieliby panować nad sobą, nieodwołalnie stałby się musiał cudzym niewolnikiem.

Niektórzy sądzą, że wprawę, ćwiczenia etyczne można zastąpić oświatą. Jest to taki sam błąd, jak gdybyśmy np. wyobrażali sobie, że oświetlenie fabryki elektrycznością może zastąpić kotły, maszyny parowe i mechanizmy wykonawcze. Wola ma swoje oddzielne sprzężyny, dźwignie i tryby, które muszą się wygładzać i dopasowywać zapomocą pracy specjalnej, do czego nie wystarczy sama oświata, czyli zdobycie wiadomości choćby najobfitszych i najlepiej wybranych.

— Czy jednak można wyrobić w sobie charakter? — zapyta czytelnik. — Czy człowiek nie jest mechanizmem, który od urodzenia do śmierci musi postępować tak, a nie inaczej, najczęściej głupio i szkodliwie?...

Wiara w fatalizm jest takim przesądem, jak inne. Człowiek normalny posiada bez porównania więcej skłonności dobrych, aniżeli złych, może więc je rozbudzić, wykształcić, wzmocnić, czyli urobić sobie charakter. Psychologia i pedagogika nowoczesna podają nawet użyteczne w tym kierunku przepisy. Chcesz dobrze postępować, wypracuj w sobie odpowiadne nałogi. Wyrobisz zaś w sobie nałogi, jeżeli będziesz o nich myślał, gdy je pokochasz, będziesz ich pragnął, będziesz o nich rozmawiał, będziesz się przypatrywał czynom odpowiednim, a nadewszystko—gdy będziesz wprawiał się, gimnastykował wolę w pożądanym kierunku.



Rozumny, dzielny i szlachetny charakter jest błogosławioną zaletą człowieka, a największym bogactwem narodu.

Tyle o obowiązkach jednostki. Co do społeczeństwa—należy usilnie starać się o pomnażanie w niem zajęć użytecznych. Trzeba, ażebyśmy wszystko i wszystko umieli wyrabiać w kraju, ażebyśmy wszystko mieli w kraju, począwszy od obfitości chleba, odzieży, opału i mieszkań, kończąc na uczonych, artystach i filozofach. I jeszcze trzeba, ażeby ludzie, należący do rozmaitych specjalności, nie tylko stykali się ze sobą, ale i pomagali sobie. „Jeden za wszystkich—wszyscy za jednego”, takie powinno być nasze hasło. Co jednak nie znaczy, ażebyśmy mieli np. bronić przed policją złodziei i rozbójników, albo przenosić hultaja

byłe Polaka nad ucziwego cudzoziemca. Aż tak daleko nie wolno posuwać narodowej solidarności.

Bardzo ważny jest stosunek narodu do cywilizacji wogóle, który u nas wiele, niestety! pozostawia do życzenia. Mnóstwo ludzi wyjeżdża od nas co rok zagranicę, lecz niewiele pożytku przywozi stamtąd. Chwała! teatry, kabarety, niekiedy domy gry, ale nie widzą tamtejszej schludności, uprzejmości, dobrobytu, oświaty, pracowitości i t. p.

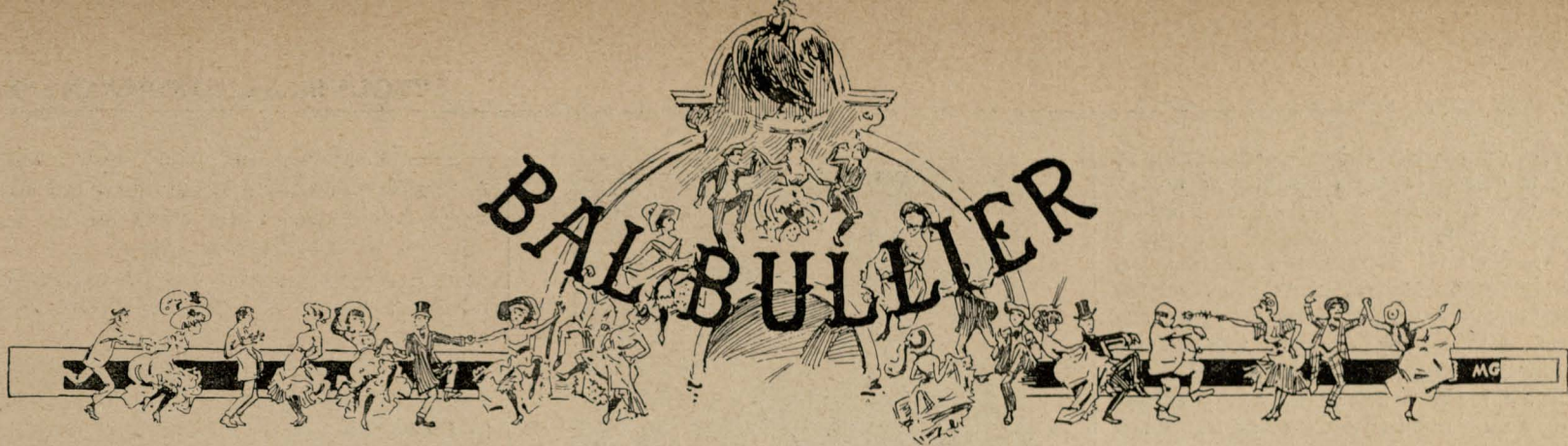
I znów z bólem serca muszę wspomnieć o młodzieży naszej. Ona z zagranicy powinna przynosić nam nie tylko naukę, lecz i inne promyki cywilizacji, z których z czasem utworzyłoby się wielkie światło. Na nieszczęście nasi młodzi podróżnicy nie tylko nie nadsyłają swoich spostrzeżeń nad cywilizacją, ale zdają się to lekceważyć. Niemcy pijaki, Francuzi lekkoduchy, Szwajcarowie hotelarze... O, za pozwoleniem!... naprzód stańmy się nieco podobnymi do owych Szwajcarów, a dopiero później krytykujemy ich—*nota bene*—sprawiedliwie. Nic tak nie oburza, jak owe paniczykowskie sądy o narodach, wobec których jesteśmy maruderami.

Japończycy, gdy zwiedzali Europę i Stany Zjednoczone, mieli inny sposób podróżowania. Oni wszystko widzą, co jest dobre u obcych, wszystko notują, a wróciwszy do domu, stosują do swoich narodowych potrzeb. Ale Japończycy to nie my.

Zdaje się, że rozdział o wadliwościach naszego społeczeństwa najlepiej zakończę kilkoma aforyzmami:

„Złoty wiek rodu ludzkiego—mówi Saint-Simon—nie jest za nami, ale przed nami: polega on na doskonałości porządku społecznego. Nasi ojcowie nie widzieli go, dojdą tam dopiero nasze dzieci; naszym zaś obowiązkiem jest wyrównać im drogę do tej przyszłości”.

„Nauka socjalna—utrzymuje H. C. Carey—dostarcza mnóstwa nieocenionych wskazówek. Mówi ona narodom, że każde pogwałcenie cudzych praw osłabia ich zdolność bronięcia samych siebie; że wolność jest związana z taką różnorodnością zajęć, która daje pole działania wszystkim zdolnościom ludzkim; że wojny, głody i zarazy nie są skutkami błędów Stwórcy, ale rezultatem występków ludzkich; że natura pracuje powoli i bez hałasu, a człowiek powinien robić to samo i że wreszcie zasadniczym dogmatem, zarówno chrystyanizmu, jak i nauki socjalnej, jest: rób innym to, co chcesz, aby tobie czynili”.



Przed paru tygodniami rozeszła się wiadomość w prasie paryskiej, że bal publiczny, znany p. n. „Bal Bullier”, ma być zamknięty, a na jego miejsce wybudowany dom dochodowy. Nowi nabywcy zakładu prostują tę przedwczesną wiadomość, oświadczając, że „Bullier” ulega tylko radykalnym zmianom i że po wakacjach na nowo zostanie otwarty: obok balu, ma w przyszłości istnieć wspólna sala koncertowa, music-hall i inne jeszcze niespodzianki i atrakcje.

„Bullier” w życiu młodzieży akademickiej, a dawniej nawet w życiu młodej literatury francuskiej, odegrał niemałą rolę, dzisiaj więc, kiedy się przeobraża i modernizuje, zasługuje na to, aby mu kilka słów poświęcić.

Tam, gdzie do wczoraj znajdował się dawny bal „Bullier’a”, w latach czterdziestych ubiegłego stulecia założył niejaki Carnaud przedsiębiorstwo taneczne p. n. „La Chartreuse”, które miało konkurować z innym, w Kwartale Łacińskim odbywającym się balem: „La Grande Chaumière”. Nazwa „La Chartreuse” pochodziła od dawnego klasztoru Kartuzów. Carnaud był duszą tego zakładu, i nie tylko kierownictwo naczelne i cała administracja spoczywały w jego ręku, ale także sam dyrygował orkiestrą, sam układał dla niej muzykę, sam wynajdywał tańce. Mimo jednak tych zabiegów i starań Carnaud „La Graude Chaumière” i jej powodzenie nie dozwalały „La Chartreuse” dojść do sławy; Carnaud, przewidując rychły upadek swego przedsiębiorstwa, ustąpił je Bullier’owi, dawnemu kierownikowi t. zw. „Prado d’Été”, które znowu na Montparnasse’ie chętną zabaw gromadziło publiczność, ale publiczność, nie należącą do świata ani studenckiego, ani artystycznego.

Na gruzach bardzo prymitywnie urządzonej „La Chartreuse” wystawił Bullier zbytkowny lokal, a ponieważ wówczas miała powodzenie sztuka Soulié’go „Closerie des Génets”, ochrzcił nowy bal mianem „Closerie des Lilas”. Odrazu zyskał Bullier całą klientelę, nie tylko Kwartału Łacińskiego, ale także całą klientelę z prawego brzegu, która wieczorne swe zabawy chętnie wśród rozbawionej młodzieży, a znanych jej z powieści Murger’a bohaterów kończyła.

To powodzenie „Closerie des Lilas” trwa do wojny franko-pruskiej. „1870 rok... — pisze jeden z historyków balu—rok smutny i straszny! Najście nieprzyjaciół, Ojczyzna w żałobie, wróg u drzwi miasta, aleja de l’Observatoire pusta, dawna „Closerie des Lilas” pogrążona w ciemnościach... Bzy powycinane, studenci na barykadach albo w ar-

miach prowincjonalnych, w sali balowej oddział wojska, kiedy wyszli żołnierze, umieszczono tam ambulans, umierający jęczą, gdzie niegdys tańczono i bawiono się... Wtem pada bomba niemiecka... ambulans przenoszą do Saint-Germain-L’Auxerrois... Wojna nareszcie skończona; zaczyna się walka bratobójcza... prochownia, znajdująca się obok Ogrodu Luksemburskiego, podpalona, grozi zupełnym zniszczeniem „Closerie”... Uratowana częściowo i odbudowana „Closerie des Lilas” po wojnie i po komunie znowu gościnne wrota otwiera”.

„Closerie des Lilas” przechodzi w ręce siostrzeńca założyciela i zmienia nazwisko; odtąd „Bal Bullier”, ochrzczony na pamiątkę założyciela, którego biust na zaszczytnym miejscu zdołał ozdobić salę balową, często zmienia właścicieli i poczyną chylić się ku upadkowi. Nie pomagają zmiany i przeróbki, nie pomagają atrakcje najrozmaitsze. Młodzież po klęsce narodowej utraciła dawną wesołość; przytem następuje przeniesienie się głównego ośrodka zabawy na Montmartre; ułatwione komunikacje, powstanie rozmaitych innych „balów” ostatecznie doprowadzają do tego, że „Bal Bullier” staje się przedsiębiorstwem, zbyt mało przynoszącym zysków.

* * *

Chociaż w ostatnich latach „Bal Bullier” nie przedstawiał zbyt wielkiego przedmiotu zaciekania, zajrzyjmy doń na chwilę, zobaczymy, jak zbiera się tam publiczność, jak się bawi. Zajrzyjmy raczej w czwartek, niż w sobotę lub w niedzielę, gdyż w dniu tym, ze względu na podwyższoną cenę biletów wejścia, publiczność bardziej jest wyszukana.

Już na Boulevard Saint Michel, na t. zw. Boul Michl’u, większy, niż w dzień zwykły, ruch panuje: w kawiarniach restauracyjne stoliki zajęte; mieszkańcy „Quartier”: studenci, artyści, młodzież, która zwykle jada w tak zwanych bulionach, dzisiaj sobie i swym towarzyszkom obiady droższe w taverne’ach „Quartier”, w Panteonie, w Vachette, w Soufflet, u Harcourt’a, opłaca. Przy stolikach restauracyjnych, tu i owdzie, widać mieszkańców innych dzielnic Paryża, a nade wszystko „damy” z prawego brzegu, które, w dniu tym wyjątkowym, robią „tournée” w Kwartale Łacińskim, choć czynnego udziału w zabawie nie biorą...

Ale obiad to tylko przygotowanie do zabawy; tu, o ile się jest samemu, robi się znajomości, o ile się jest w towarzystwie, dodaje się sobie otuchy, nabiera się fantazyi i animuszu. Po

obiedzie skojarzone przy dźwiękach t. zw. cygańskich muzyk pary, bądź piechotą, a najczęściej dorożką lub automobilem, bo wszak to dzień wyjątkowej zabawy, udają się do Bullier’a.

Przy kasie tlok; panie, o ile znane są kontrolerom, nie płacą wejścia wcale; inne — połowę ceny biletu męskiego. W garderobie zostawić należy koniecznie laski i parasole, ze względu na bezpieczeństwo publiczne, chociaż, wyznać trzeba, zbierająca się u Bullier’a publiczność, nawet bez lasek i parasoli, o ile zachodzi potrzeba, umie własnymi pięściami zakłócić ten porządek... Przeszedłszy przez szpaler gwardzystów municypalnych i mimo biura pogrzebowo, w czarne surduty ubranych kontrolerów, wydostaje się na schody kamienne, owe schody, wybudowane jeszcze przez starego ojca Bulliera, przedzielone sznurem na dwie połowy, z których jedna służy dla tych, co udają się na salę, a druga dla wychodzących. Schody prowadzą wprost do sali balowej, kilkadziesiąt wzdłuż, a kilkanaście wszerz liczącej metrów, przedzielonej dwoma rzędami kolumn na trzy części; w trzech więc kręgach tańczyć można, bliżej albo dalej od orkiestry, umieszczonej na wzniesieniu, po środku znajdującej się wprost schodów ściany podłużnej. Oprócz tych trzech głównych kręgów, w których tańczą, tworzą się jeszcze inne mniejsze, po bokach i po kątach; z tych mniejszych kręgów dwa zasługują na uwagę: jeden bardziej demokratyczny, niedaleko wejścia, pod popiersiem Bulliera—tutaj bawią się bodaj najczęściej, tutaj widzieć można prawdziwy walc „chalu-pée”, słowem, nie skalane kulturą tańce rodzime; drugi, bardziej arystokratyczny, po przeciwnej stronie orkiestry, obok bilardu, gdzie nie tyle chodzi o zabawę, ile o pokazanie swej tualety, a nade wszystko swych kształtów; kiedy w pierwszym kręgu tańczą mężczyźni z kobietami, w drugim przeważnie tylko kobiety, nadając ruchom i gestom pewien charakter zepsucia, którego młodzież z drugiego końca nie zna i nie ma...

W sezonie letnim, obok sali, otwarty jest ogród z kamiennymi grotami po bokach, gdzie w altankach, przy stolikach można *prendre l’air*, ogród, miejscami oświetlony rzęsiście, miejscami wcale nie oświetlony, a więc mogący zaspokoić wymagania najwybredniejsze... Z ogrodu tego widok na salę, zapełnioną tańczącymi parami, rzeczywiście jest niepospolity...

Rzućmy teraz okiem na publiczność. Znaczna część kobiet należy do pół-swiata; ale określenie to nie jest wystarczające: zaczyna się pół-



Paryż. Bulwar Saint-Michel.



La Cascadeuse (nowy taniec) u „Bulliera”.

świat paryski od warunków bardzo mizernych, od mieszkania w ostatniorzędym hoteliku na kredyt, od życia z dnia na dzień. a kończy na posiadaniu własnego hotelu, licznej służby, samochodu i t. d.; oczywiście, biorący w zabawie udział świat kobiecy zbliża się raczej do pierwszej kategorii: arystokracja przychodzi po to tylko, aby się pokazać, a także, aby odnowić wspomnienia z lat minionych, kiedy, żyjąc nadziejami na przyszłość, musiała razem z innymi walczyć o zdobycie najelementarniejszych środków do życia... Obok dam z pół-świata robotnice i panny służące „na wychodnem”, jedne i drugie na krawędzi tego, co świat zwykł życiem uczciwym nazywać... Wreszcie kolekcja ciekawie przyglądających się spektaklowi cudzoziemek, rażących w tym środowisku brakiem wszelkiej elegancji, odzianych raczej, niżeli ubranych, nawet, idąc dalej, powiedzieć można, psujących harmonię obrazu, gdyż, jak to zresztą powszechnie wiadomo, kobiety francuskie, bogate czy biedne, brzydkie czy ładne, dobrze czy źle urodzone, posiadają pewien sztyk specjalny, którego brak kobietom innych narodowości.

Wśród mężczyzn przedstawiciele wszystkich warstw społecznych znaleźć można: począwszy od apasów i sutenerów, a skończywszy na eleganckich paniczach, od młodzieńców zaledwie dorosłych, aż do starców, ledwo wlokących nogami. Liczba jednak przeważająca—to studenci i artyści najniższej kategorii, kupczyki, no i, jak wszędzie, gdzie się bawia, cudzoziemcy, a między nimi liczni przedstawiciele Słowian, a w szczególności Polaków.

Od czasu, kiedy wynaleziono taniec, polegający głównie na ruchach biodrami, u Bulliera, jak zresztą i w innych podobnych zakładach, wszystko, mniej więcej, w ten sam sposób się tańczy, z różnicą tylko taktu, który zmienia się w zależności od muzyki. Nie myślę dyskutować nad tem, czy sposób tańca jest estetycznie piękny, czy też nieładny, moralny czy niemoralny, nie ulega jednak kwestyi, że owe ruchy biodrami nadają tańcowi zmysłowość, a więc zbliżają go do celów, dla jakich, przynajmniej w danym wypadku, ma służyć. Czy muzyka gra polkę, walca, galopkę czy kontredansa, jest to rzeczą obojętną dla gości Bulliera: stojąc niemal w miejscu, wykonywają oni ruchy, początek swój, zdaje się, od maczicza biorące. Czasami tylko, przy dźwiękach kontredansa, kilka par, w których skład przeważnie wchodzi fachowcy, ustawia się i daje przedstawienie dla reszty gości, odtwarzając sześć figr znanego u nas powszechnie kankana.

Ale oto muzyka grać przestała... Z tysiąca piersi wybucha okrzyk protestu, a że głosy kobiece przeważają, hałas ten podobny jest do pisku i kwiku, a ma znaczyć, iż publiczność prosi jeszcze o muzykę i że pragnie tańczyć dalej. Szef orkiestry podnosi batutę, i orkiestra gra znowu; po kilkunastu taktach przestaje... Pisk się powtarza, czasami ze skutkiem, zależnie od humoru dyrektora. Następują po sobie walce, polki, maczicze, kontredanse.

Każdy sezon przynosi nowy jakiś taniec aktualny: pamiętam, kiedy w modzie była walka jitsu-jitsu, tańczono u Bulliera taniec tego nazwiska, polegający na tem, że każdy z tańczących, kolejno i na zmianę, po zrobieniu paru czy kilku obrotów, unosił w pół i potrząsał w takt muzyki swoim partnerem. Policja paryska, bardzo wyrozumiała dla wszystkiego, co dzieje się w Kwartale Łacińskim, tym razem „jitsu-jitsu” odmówiła praw obywatelskich.

Godzina jedenasta. Sala zaczyna się opróżniać. Ci, co celu dopięli, uciekają z powrotem do kawiarni Kwartału Łacińskiego i, pożywiwszy się, udają się na spoczynek. Inni, mniej szczęśliwi, wychodzą także, aby skorzystać jeszcze z tanich środków lokomocji (tramwajów, omnibusów, metropolitain'u) i przedostać się na prawy brzeg, albo na Montmartre i tam dalsze, a skuteczniejsze uczynić poszukiwania.

* * *

Po godzinie dwunastej znowu pełno w kawiarniach: amatorzy tańca dalej tańczyć mogą



w barach, znajdujących się w suterynach Panteonu, Lorraine i t. p. Inni, spożywając sandwicze, a wchłaniając boki, albo wypróżniając butelki szampana, a jedząc ostrygi i raki, stosownie do zawartości portmonetki, oczekują godziny drugiej, kiedy surowe w tym względzie przepisy policyjne nakazują koniec wszelkim rozrywkom.

Godzina druga. Na Boulevard St. Michel ożywienie bodaj większe, niż popołudniu. Przed każdą kawiarnią tłum kobiet i mężczyzn...

Dokoła tego tłumy snują się, niby ptaki drapieżne, oczekujące na łup, panowie Alfonsi, a dalej jeszcze, w dalszej linii bojowej, w czarnych melonach, o spojrzeniu surowym, agenci policji tajnej.

Tłum, tym podwójnym kordonem otoczony, schodzi w dół Boulevardu, do rogu ulicy Racine'a, przed znaną, a całą noc otwartą piekarnię i cukiernię p. Livragne. To już etap ostatni, ale także najmniej bezpieczny: nie brak i złodziejstw, i bójek, i zabójstw nawet; tutaj robią się parachunki ostateczne, tutaj „sprawiedliwości” staje się zadość.

KAZIMIERZ WOŹNICKI.

Drzewa w jesieni.

Skłóciły się brzydką waśnią drzewa raz w jesieni, kto zawinił, że je srodze odarto z zieleni.

Aż ktoś wrzasnął:

— Toć to śliwa, co na wzgórzu stoi i co roku w ciemny owoc drzewo swoje stroi!

— Ja?—zapyta śliwa, drżąca od nocnego chłodu—wszak najwięcej bodaj cierpię z całego ogrodu!

— Cierpisz, prawda, lecz nie sama, a z twojej przyczyny cierpią grusze i jabłonie i te mdłe maliny!

— Lecz powiedzcie mi, siostrzyce, jakaż moja wina?—pyta śliwa dygocąca, cała z chłodu sina.

— Jaka wina?! to już, proszę, czelność w niej nielada!—zaszumiła stara jabłonia. Inna rzesza gada:

— Otrząsali z ciebie owoc od rana do nocy, ciemne śliwki tak leciały, jak kamienie z procy, oblatując, w nas waliły, strząsały nam liście, a więc twoja wina cała, twoja, oczywiście!

I tak gwarząc, szumiąc ciągle w bezprzeznaczonym gniewie, otrząsały liście własne, każda na swem drzewie.

A wiatr chytry słuchał kłótni, chichocząc w przestworzu, jeno lekko pomuskiwał po wschodzącem zbożu. Muskał lekko jego piórka i głaskał miłośnie, jakby mówił:

— Poprawię się, niech jeno wyrośnie. A tymczasem smagał wichrem liście na drzewinie i chichotał, wciąż chichotał:

— Niechaj liść ich zginie!

— Niechaj ginie dumna rzesza, co się tak pyszniła, że w jesieni się owocem wspólnie okryła!

— Niechaj leci jej listowie po szerokim świecie, ja tu panem, a mój oddech wszystkie je rozmiecie!

I dąb wichur z całej siły, otrząsał z drzew liście i rad, bardzo z swej roboty, hulał zamasyście.

— Jam tu mocarz nad mocarzel!—wył, jak potępieniec, i otrząsał z drzew wierzchołków zielony ich wieniec.

Rozleciały się drzew liście po szerokim świecie, a wichur je wciąż popędza, gniewem na nie miecie...

Drzewa w klęsce zapomniały o kłótni, niezgodzie, stały smutne i bezradne w tym wielkim ogrodzie.

Liście poszły het, za morze, za wysokie góry, inne znowu się czepiały zwisającej chmury.

A jabłonie, grusze, śliwy, wiśnie i czereśnie szepczą sobie cichuteńko, szepczą, jakby we śnie:

— Czemużeśmy się kłóciły, ach, czemu, ach, czemu?! Wszak te kłótnie i niezgody winne są wszystkiemu!

Mocarz wielki, wichur, tam w górze, podłuszczał te kłótnie, zadał, gwizdnął, niby godził, a smagał okrutnie.

* * *

Poleciały żółte liście, lecą w świat szeroki, a nad nimi mgieł tumany i ciemne obłoki...

Najszczęśliwsze, co przywarły do swej matki-ziemi, wrosną w łono rodzicielki i wstaną nowymi!

* * *

Wicher szumi, mocarz wielki nad całym przestworzem, zdaje mu się, że panuje nad ziemią i morzem.

Rozzuciwszy wszystkie liście z sadu i ogrodu, szarpnął dębem, co stał w lesie, ot, tak, bez powodu.

Podmuchał wichur żółcił, zmarszczył twarde dębu liście, lecz nie oddał od gałęzi, były, jak okiście. Dmuchał mocarz, dął i smagał w swoim wielkim gniewie, dębu liście, wciąż przywarte, sterczą przy swem drzewie. A choć wichur ten strącał igły z sosny, świerku, jodły, pozostało ich dość jeszcze, by rozhovor wiodły.

Mówią szumem między sobą, rada w radę niosą, choć drżą z zimna, choć okryte mrozu białą rosą.

— My tam sobie, my tam sobie, hej, pospolitaki, a choć wichur mocarz wielki, ba, nie bylejak! lecz my wszystkie, hej, nawykłe do niejednej biedy, a więc wziąć nas nie tak łatwo... Pamiętajcież tedy!

I strząsały groźnie z szumem iglaste wierzchołki sosny, jodły, świerki, wszystkie jałowce-pachołki.

A dąb stary, ów król lasu, w pożółkłej koronie, mówił gromko, mówił ciągle każdemu na stronie:

— Nie zginiemy, nie zginiemy, choć zażyjemy biedy, będę jeszcze jakoś zmożem, pamiętajcież tedy!

Z. MORAWSKA.

NORWID.

Gdyby nie Miriam, który z pyłów zapomnienia „wyrzebał” Norwida, kto wie, czyby do tego czasu przypomniano sobie o poecie, jednym z najwybitniejszych twórców polskich, który, podobnie jak Słowacki, nie zrozumiany i wyszydzany za życia, po śmierci przez wiele lat zapomniany, teraz dopiero powoli zyskuje uznanie; dzięki Przesmyckiemu, który poświęcił autorowi „Quidam” cały tom *Chimery*, skarby puściny literackiej Norwida stały się znane szerszemu ogółowi i dały pochop do poznania ich i krytycznego zajęcia się nimi. Zjawiają się też teraz coraz liczniejsze studia, notatki, monografie, wydania utworów poety („Wybór poezji”, dokonany przez R. Zrębowicza), w ostatnich czasach wyszedł wybór jego poezji po niemiecku, z doskonałą przedmową p. Ader-schah, pracę o Norwidzie, malarzu i rysowniku, przygotowuje p. A. Schöder. Niedawno ukazały się dwie



Adam Krechowiecki.

książki o nim: C. Jellenty (Norwid A. Staudachera, Stanisławów) i Adama Krechowieckiego (Nakład Gubrynowicza, Lwów).

Obszerne, dwutomowe studium Krechowieckiego jest pierwszym dziełem, rozpatrującem wszechstronnie twórczość Norwida, dającym syntezę życia i poetycznej działalności tego—jak słusznie pisze Brückner—kapłana sztuki wielkiej i świętej, do Nazarejczyków między malarzami się liczącego, wymagającego od czytelnika, by się dostrajał do jego głębi, by dosnuwał z siebie, czego nie dopowiedział całkowicie poeta. Więc dla przeciętnego czytelnika zbyt „tajemniczy”; nie dla zjadaczów chleba jego poezya, „kawior dla tłumu”, jak i Słowacki.

Wprawdzie dziś jeszcze trudno dać dokładny obraz duszy poety i jego życia, gdyż całe mnóstwo prac jego jest nieznanie; znakomity autor „O tron” posiadał pierwszorzędne materyały i ułożył z nich całość, która w naszej literaturze krytycznej znawstwem swoim, obiektywizmem, dalekim od pustych pochwał i frazesów, a zarazem intuicyjną, szczerze artystyczną, stanowi cenny nabytek i nieoceniony dokument dla przyszłych badaczy Norwida.

Krechowiecki bezwzględny wielbicielem poety nie jest, widzi w nim jednak jednego z największych twórców polskich, myślicieli i stawia go w pierwszym rzędzie naszego Parnasu; w studium jego poznajemy też po raz pierwszy życie Norwida w cyganerii warszawskiej, w gronie Wolskiego, Dziekońskiego i innych, potem we Włoszech, Paryżu, Ameryce i t. d., wreszcie w przytułku paryskim, gdzie w nędzy rozpaczliwego żywota, burz, miotań się, klęsk moralnych i materyalnych, dokonał. Prócz tego podaje autor dokładny rozbiór jego utworów, znaczenie ich i wpływy, jakie na nie działały, wreszcie stosunek jego do Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego, Zaleskiego i całej emigracji, która nie umiała czy nie chciała zrozumieć go należycie i ocenić, a jego rzadkie występy przyjmowała milczeniem grobowym.

Stosunek Norwida do demonicznej pani Calergis, pod której urokiem pozostawał cały ówczesny prawie świat artystyczny, a która mimowolnie fatalnie wpłynęła na całe biedne życie poety, po raz pierwszy wyjaśnia i tłumaczy należycie Krechowiecki w swoim, doskonałym polszczyzną napisanym dziele.

A. S.

STANISŁAW MASŁOWSKI.

SYLWETA ARTYSTY.

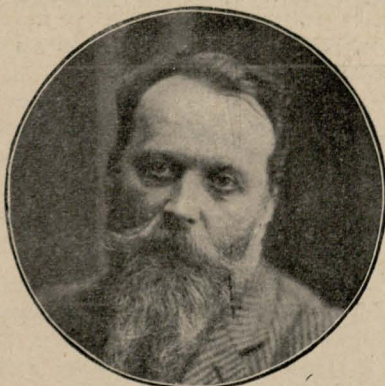
Masłowski, bardzo jeszcze młodym będąc chłopcem, jako uczeń warszawskiej szkoły rysunkowej, zaznaczył wybitny swój talent w pierwszych porywach twórczych. Wtedy już jednak poza talentem zarysowywał się, jako najważniejszy czynnik jego organizacji artystycznej, pierwiastek silnej, samorodnej, powiem nawet, żywiołowej indywidualności.

Istoty, tym pierwiastkiem od natury obdarzone, przy szczęśliwym zbiegu okoliczności wychodzą na geniuszów, a w każdym razie znaczenie swe w sztuce pozostawiają.

Dziecię epoki realizmu, Masłowski wraz z całą swą generacją poszedł drogą sumiennych studyów, mając za cel naśladowanie natury, a w duszy szczerą jej miłość. Szedł szybko. Przeglądając roczniki *Tygodnika* z lat dawno ubiegłych, pod datą 1875 spotykamy się z nazwiskiem Masłowskiego, a stoi ono podpisane pod doskonałymi rysunkami. Masłowski jeden z pierwszych w malarstwie polskim wprowadził zupełną bezpośredniość wrażeń z natury: cała jego młodzieńcza twórczość to fragmenty, wyrwane na gorąco z przyrody.

Wśród pokolenia artystów, do którego należał, stoi on na pierwszym planie, nie znikając, jak tyłu innych, w cieniu Chełmońskiego, lecz coraz bardziej rozszerza swą własną ścieżkę twórczości. Gdy namalował jedną ze swych najpiękniejszych kreacji, swą pełną uroku i prawdy „Groblę”, nie miał dwudziestu pięciu lat.

Masłowski szedł przez cały ciąg swej kariery siłą wewnętrznego impulsu, jest on jedynym tej miary artystą, który urobił swą



Stanisław Masłowski.

artystyczną osobistość w kraju bez wpływów uczelni zagranicznych. Znaczenie to w dziełach jego. Wyjeżdżał zagranicę wielokrotnie, lecz już jako skończony malarz, uczył się głównie nie w szkole, lecz w otoczeniu przyrody polskiej, którą odczuwał i wypowiadał z mistrzostwem.

W czym leży oryginalność Masłowskiego? Nie w treści jego utworów, gdyż w kierunku, przez niego uprawianym, tyłu mieliśmy i mamy malarzy, nawet nie w swojskości kanwy twórczej, na której snuje swoje kreacje. Indywidualność artysty ujawnia się przede wszystkim w czysto subiektywnym wyrazie wewnętrznych ideałów, w stanowisku, jakie zajmuje wobec przejawów życia, w plastycznej formie, w jaką zakuwa swe twórcze pomysły. Masłowski posiada swój własny styl, co jest udziałem wyjątkowych tylko sił kreacyjnych.

Przełomowa epoka, którą w dziedzinie sztuki przeżywamy, nowe prądy i hasła, które oświadczyły umysłami najmłodszych generacji, zastały Masłowskiego w pełni sił męskich, jako skończoną, urobioną i charakterystyczną jednostkę w malarstwie naszym. Talent jego, uznany w pierwotnym swym stanie przez starsze pokolenie artystów, odczuty przez rówieśnych, znajduje również poklask i następców. Najnowsza epoka w swym rewolucyjnym

fermencie, oświecając w nowy sposób nasz dorobek artystyczny, urobiła nową hierarchię, nową segregację talentów i zasług. W hierarchii tej Masłowski zajął jedno z naczelnich miejsc, jako jeden z rzadkich przedstawicieli starszego pokolenia, któremu lata nie starły stygmatu młodości uczuć, talentu i natchnienia.

To stanowisko pozwala mu brać czynny udział w ruchu ostatniej doby: nie spoczywa on na laurach, dawniej zdobytych, lecz coraz to nowym listkiem wawrzynu ozdabia wieniec rzetelnej w sztuce polskiej zasługi.

Otwarta przed paru dniami w Towarzystwie zachęty wystawa ostatnich prac znakomitego artysty poruszy te sfery, którym droga jest sztuka polska. I dobrze się stanie, gdyż przyświeca jej blask wielkiego, samorodnego talentu.

H. PIĄTKOWSKI.

Wolność i niezależność sądu.

Jeżeli krytyka, która kieruje się namiętnością i dla załatwienia porachunków osobistych fałszuje prawdę, nie jest krytyką, to nie jest nią również krytyka, pozbawiona wolności i niezależności sądu.

Krytyk, zbliżając się do dzieła sztuki, nie może liczyć się z żadnymi względami, bo zdanie jego ma wartość dopiero wówczas, gdy wypowiedziane zostało szczerze, bo prawda jego nabiera cech prawdy istotnej dopiero pod tchnieniem wiary.

Krytyk może się mylić, bo mylą się wszyscy: i twórcy, i ci, którzy ich sądzą; może błędzić, może paść ofiarą własnych przywidzeń i złudzeń, nie może jednak mówić inaczej, niż myśli i czuje, nie może zatajać tego, co w nim powstało, jako głębokie przekonanie wewnętrzne. Inaczej—rola jego, jako pośrednika pomiędzy twórcą a społeczeństwem, zamiast pożytku przyniesie tylko szkodę. I dlatego, w obronie przed tą szkodą, kultura gwarantuje krytyce wolność i niezależność sądu.

Krytyk ma prawo mówić wszystko, byle tylko czynił to uczciwie i w formie przyzwoitej. Jeżeli zaś tym dwu wymaganiom uczynił zadość, jest w porządku, i niema zasady, w imię której można go pociągnąć do odpowiedzialności i potępić. Można się z nim sprzeczać, można zdania jego prostować i zwalczać, niepodobna jednak zakwestyonować jego przywileju do wypowiedzania tej prawdy, którą za prawdę uznał i w którą wierzy.

A jednak bywają wypadki, kiedy ten właśnie przywilej staje się powodem nieporozumień pomiędzy artystą a krytykiem. Są tak wrażliwe organizacje twórcze, tak zaślepione w swoim prawdziwym lub urojonym dostojeństwie, tak przejęte wysokim o sobie mniemaniem i tak monarchicznie nietykalne, że każdy sąd krytyki, o ile nie jest hymnem pochwalnym na ich cześć, wydaje im się nieprawomyślnym zamachem na ich godność, na ich dobrą sławę artystyczną, na ich przyszłość, budowaną w marzeniu.

Krytyka nie jest dla nich światłem, ale czerną chorągiewką torreadora. *Irritabile genus*—mówili już o artystach starożytni Rzymianie. Cóż jednak powiedzieć ma o nich świat współczesny, który w zamęcie końca i początku wieku patrzył na wtargnięcie do sztuki pokolenia neurasteników, a wprowadzony w labirynt gorączkowych majaczeń twórczych, długo nie mógł odróżnić sztuki wielkiej i prawej, trwałej i nie przemijającej od jej falsyfikatów, powstających pod hasłami modnych doktryn estetycznych?

Przy całej swojej wyrozumiałości dla atmosfery umysłowej i duchowej epoki, przy klinicznym traktowaniu histeryi, jako przyczyny wielu niepożądanych i ujemnych w sztuce współczesnej zjawisk, ma on obowiązek, w imię kultury, tego najszacowniejszego dorobku ludzkości cywilizowanej, gorąco, żywo i energicznie protestować przeciw

wszelkim ograniczeniu wolności i niezależności sądu krytycznego, mając na uwadze, że kultura artystyczna tylko tam może się rozwijać, gdzie istnieje poszanowanie tych podstawowych zasad. Na nich, jak na fundamencie granitowym, wspiera się cały gmach krytyki, i gmach ten runie z chwilą, gdy fundament zostanie podcięty. Na jego zaś miejscu stanie już tylko kram krzykliwej reklamy kupieckiej, nie mającej nic wspólnego z prawdziwą, wielką sztuką, zrodzoną z tęsknoty do nieśmiertelnego piękna. Z. D.

NAROD W NARODZIE.

Szkice i wrażenia z życia Żydów.

Na ziemiach polskich, nie w łonie, lecz obok społeczeństwa polskiego żyje wielomilionowa rzesza żydowska. Trzecia część mieszkańców Warszawy jest Żydów, szóstą część ludności całego Królestwa stanowią Żydzi; w siedemdziesięciu miastach i miasteczkach mamy większość mieszkańców Żydów; w niektórych osadach ilość ich przenosi dziewięćdziesiąt procent ogółu.

Pozostawmy wnioski na koniec. Nie mówmy tymczasem o asymilacji i jej zakresie. Mniejsza zresztą o to, czy jesteśmy jej zwolennikami, czy nie. Nie zmieni to w niczem poglądu na przeszłość, niezbitego faktu teraźniejszości. Mamy obok siebie społeczeństwo obce, którego zgoła nie znamy.

Między nami a Żydami wznosi mur nieprzebyty nie tylko, a może najmniej pochodzenie rasowe; wyznanie inne, język obcy, w mowie, a zwłaszcza w piśmie, oto główne części składowe tego muru.

I na tle tej zupełnej nieznajomości, na kruchych materyałach słyszanych, rzadziej w najlepszym razie czytanych, budujemy programy antysemityczne, filosemityczne, asymilacyjne.

Programy rozwiązania sprawy, której w dzieje dziesiątych nie znamy.

Rzucenie garści światła na życie ciemnych tłumów żydowskich, na życie tej inteligencji, która z nimi nie zerwała i szerzy żydowskie ideały narodowe, syonistyczne czy terytorialistyczne, poznać, ile możliwości, ich stosunki obyczajowe, wyznaniowe, ekonomiczne, oto zadanie szeregu artykułów, których druk rozpoczynamy w numerze niniejszym.

By się nie zaplątać w tym obcym gąszczu, trzeba mieć nić przewodnią, albo miarę, którą się do stosunków innych przykłada. Mamy ją i my.



Za Żelazną Bramą spotkacie nie-Żydów, tylko jako kupujących.

Jest nią stosunek Żydów do kultury polskiej, do dążeń i ideałów w narodowych polskich, wzięty na tle walki tych, którzy tu od wieków osiedli, z przybyszami ze Wschodu, ofiarami z przed lat kilkunastu granicy osiedlenia. Jak wpłynęli tu „Litwacy” na stosunek do kultury naszej, do polskości, oto w innych słowach postawione zagadnienie.

Jest rzeczą niewątpliwą, że instynktowne ciążenie Żydów do polskości było przed dziesięćkami lat o wiele silniejsze, niż jest dziś. Czy dlatego, że nasza kultura była niegdyś mocniejsza, czy też zgodnie z duchem czasu i świadomości odrębności narodowej zastąpiła nieświadomą odrębność wyznaniowo-plemienną, to pozostaje kwe-

stwą otwartą, jedną z kwestyi do rozstrzygnięcia później.

— Polska pociągała Żydów bardziej, niż jakkolwiek inny kraj i naród—mówiła nam sta-



Przekupka, która żyje z obrotów pięciostowym kapitałem.

ra, zasłużona dla polskości Żydówka, której właściwie nawet za Żydówkę uważać niepodobna. W Rosyi, w Stanach Zjednoczonych Żydzi stawali się zewnątrz Rosyanami, Amerykanami, pozostając przytem Żydami. A w Polsce przechodzili do polskości duszą i sercem, zrywając węzły kulturalne ze swoim społeczeństwem...



Niewielkie zaufanie wzbudzają produkty spożywcze w straganach na Muranowie. Przecież je ludzie kupują.

Prawda. I zaraz dowód na to. Zapytana o wskazówki, jak poznać żywe życie żydowskie, wrzuciła ramionami.

— Nie wiem. Nic mnie z Nalewkami nie łączy. Nawet tam nie kupuję...

Możnaby to uogólnić. Ci Żydzi, których znamy, szanujemy, z którym się spotykamy codziennie, nic nam o tym zamkniętym świecie nie powiedzą. Innych trzeba szukać przewodników. Tych, co ze swoimi współplemieńcami nie zerwali, ale za to utrwalają wśród nich odrębną kulturę i potęgują rozwój narodu w narodzie.

Do nich zwrócić się wypadnie. I zapisywać ich zdania i informacje, bez gniewu. Bo tu znajdą czytelnicy dokumenty życiowe i tylko dokumenty.

WRAŻENIA ZEWNĘTRZNE. NALEWKI.

Każdy, powierzchowny nawet obserwator Paryża zauważy, że w stolicy świata jest kilkanaście miast: miasta nauki i zbytku, miasta handlu i spokojnego dożywania dni, miasta fabryk i rzemieślni.



Stolica żydowska. Nalewki.

Uwagę tę można rozciągnąć na wszystkie wielkie miasta. Ale w niewielu tylko znajdziecie dzielnice, które różnią się nie zajęciami zawodowymi mieszkańców, lecz typem etnicznym i językiem. Takie dzielnice żydowskie, jak Warszawa, ma może New-York, może Amsterdam.

U nas ta dzielnica rozciąga się szerzej i dłużej. Oto Świętokrzyska, stolica krawców i antykwarni żydowskich, dalej Pociejów z olbrzymimi składami mebli, Grzybów i Żelazna Brama, nieco dalej Nalewki i przyległe okolice obejmują pierścieniem żydowskim Stare Miasto z letnim ich salonem pośrodku—ogrodem Krasińskich.

Jeżeli redakcyje pism uznamy za główne ośrodki kulturalne tego odrębnego świata, to otrzymamy trzy punkty graniczne: Wielką obok Świętokrzyskiej, początek Chłodnej i Nalewki. Ale życie rozlewa się szeroko poza te punkty.

Ruszamy na Nalewki, serce Warszawy żydowskiej. Po drodze wstępujemy na Pociejów. Tu wcale nie po wersalsku wyrzuca nas rządca domu, bo fotografować chcemy.

Nie chować o to urazy. Wszak całe życie jest barbarzyńskie tutaj. Chodzi tylko o stopień barbarzyństwa, większy wśród Żydów? Zobaczymy.

Nasuwa się szereg porównań. Ulice żydowskie zatłoczone wozami ładownymi, bokiem śpieszy się i przepycha tłum. Czy pracowity—nie wiem. To pewna, że zaferowany, nerwowy, wiecznie śpieszący w walce o byt. Życie tu niewątpliwie mocniejszym bije tętnem.

U nas, na Marszałkowskiej, na Nowym Świecie tłoczą się ludzie wieczorem, w godzinie rozrywki. To tłum niepracowity, jakby wieczne obchodził święta. Czy się samo porównanie nie nasuwa? I wniosek?

W olbrzymich, długich podwórzach nalewkowskich tłoczą się obok siebie sklepy, sklepy olbrzymie, domy modlitwy, mieszkania, w których dziesiątki żyją ludzi, jak robactwo. Brud i zaduch straszny.

Czy nasz lud jest bardziej czysty? Nie wiem. Ale wiem, że u Żydów istnieją przynajmniej kąpiele rytualne, czyli że każdy Żyd przynajmniej czasem spotyka się z wodą i z mydłem. U nas zaś na wsi bywa lato, bywają stawy i rzeki. A w zimie? a w mieście? Może zaduch ten wydaje się straszny, bo nie jest rodzimy. Inne są wzywy nędzarza, karmiącego się śledziem, cebulą i czosnkiem, niż biedaka, żywiącego się grochem i kapustą.

Widzę, że pod jednym względem ta masa żydowska jest z pewnością kulturalniejsza. Oto co kilkadziesiąt kroków mamy małe, przenośne, trzcinowe stragany z pismami i broszurami. Nie znam żargonu, nie znam pisma staro-hebrajskiego, którym są drukowane. A wszystkie prawie żar-



Takie omnibusy przywożą dziś jeszcze gości z prowincji.

gonowe. Tu i owdzie zbłąka się dziennik rosyjski. Polskiego ni śladu. A w broszurach o jaśkrawo-kolorowanych okładkach poznaję bajki, romanse kryminalne. Jak u nas—ta literatura nie ma nic wspólnego z kulturą.

Ale pisma! Skoro tyle jest tych straganów, muszą je kupować w wielkiej ilości. I przypominam sobie, że pism żargonowych warszawskich rozchodzi się przeszło sto tysięcy sztuk, nie licząc tych, które idą tu z Petersburga. Statystyka porównawcza w stosunku do liczby ludności wypadłaby dla nas poprostu fatalnie.

Czy ten rozwój czytelnictwa wypadł na niekorzyść pism polskich, czytywanych dawniej przez



Na Franciszkańskiej ruch i gwałt niesłychany.

Żydów? Podobno nie. Podobno te pisma wytworzyły sobie czytelników własnych, którzy przedtem nic, albo prawie nic nie czytali.

Ale wydawcy trafili na grunt podatny. Nie tylko dlatego, że Żydzi, jako żywiol ruchliwy, handlowy, muszą wiedzieć, co się na świecie dzieje, i dziennik jest dla nich tym sposobem potrzebą życia. Nie. Bo i dlatego, że czytelnictwo jest u nich bardziej rozwinięte, prawie niema nieczytelnych.

Dali sobie z oświatą własną radę. My nie. Może to nie nasza wina, może nie stawiano im takich przeszkód, jak nam. A może tyle osławione i ganione chedery odegrały potężną, niczem



Straganiarki na Muranowie.

niezastąpioną rolę kulturalną. Wszak szkoły wyznaniowe wszędzie były przednią strażą oświaty na niższych szczeblach kultury.

Co kilkadziesiąt kroków również spotykam przekupki z ciastkami, owocami, cukierkami. Z czego żyją?—to ich tajemnica. To pewna, że cały kapitał obrotowy, spoczywający w koszu, nie przynosi pięciu złotych, rubla...

Szeregi drobnych, brudnych sklepików... Gdy zapytacie przekupki czy sklepikarza, tragarza czy woźnicę, pytanie wasze zrozumieją, ale nie zawsze dadzą zrozumiałą odpowiedź. Ale, gdy zechcecie skierować rozmowę na tory informacyjne, milkną i nieufnym pytającym mierzą spojrzeniem...

Wstępujemy do pierwszej lepszej cukierni, do renomowanej restauracji żydowskiej. Wszędzie naokoło słychać żargon, rzadziej język polski, a rosyjskiego nie słyszałem zupełnie. W restauracji na kelnera wołają: „Bolesławie”, a popiół otrząsamy na *Gazetę Polską* w formie dawnej, reklamowej popielniczki... Sprzeczność z typem publiczności dość jaskrawa.

Dziwna rzecz, jak tu się przybysz czuje obco, bardziej obco, niż gdziekolwiek zagranicą. A przecież jesteśmy w Warszawie, stolicy Polski. A tymczasem wśród obcego tłumu, obcego ruchu z rzadka przemknie tylko dorożka, najczęściej z „cudzoziemcem” w mundurze, gęściej krążą po sprawunki panie nasze.

Tak—to istotnie naród w narodzie. Naród, wśród którego ani kroku nie da się zrobić bez przewodnika. O takiego przewodnika trzeba się pośtarzać—oto wniosek z tej pierwszej wędrówki.

WŁ. PRAWDZIC.

Dwie imprezy awiatyczne.

Porównanie nasuwa się mimowoli. Podczas cudnych dni wrześniowych urządziła zbyt znana w kołach Warszawy osobistość popisy awiatyczne, które się nie udały. W okropny, zaśnieżony, zadeszczony dzień listopadowy widzieliśmy nareszcie w Warszawie szybujący w przestrzeni parę razy i parę minut przybyły z Belgii aeroplan.

Nic dziwnego. Nowe przedsięwzięcie awiatyczne składa się z ludzi poważnych, którzy nie biorą lekko zobowiązań, zaciągniętych wobec publiczności. Sprowadziło więc lotnika wybitnego, znanego wszystkim ze zwycięstw frankfurckich, barona de Catersa, który postanowił *coute que coute* doczekać się możliwej pogody i wzlotu dokonać.

Awiator i jego przyrządy przybyły do Warszawy 12 b. m., a już na dzień następny wyznaczono pierwsze popisy. Niestety, niezależna od woli ludzkiej pogoda stanowczo swoje położyła *veto*.

Niedziela ostatnia—był to chłodny, ale prześliczny dzień jesienny. To też na polu mokotowskim poczęły się gromadzić tłumy, którym pielgrzymkę awiatyczną powstrzymano ogłoszeniem, że zbyt silny wiatr (szybkość 14 mtr. na godzinę) uniemożliwia wzloty.

Tu i owdzie odezwały się sarkania, oparte na fakcie, że Latham latał podczas burzy. Mimo to, sarkania były niesłuszne. Bo awiatyka jest w powijakach i nie może być dziś jeszcze porównana z innymi typami komunikacji. A każdemu lotnikowi trzeba dać pewien kredyt i pozwolić mu rozporządzać sobą i swoją maszyną. Zresztą bar. de Caters dobrze zrobił, że nie dokonał wzlotu w niedzielę, gdyby bowiem skutkiem wiatru aeroplan uległ rozbiciu, nie widzielibyśmy wcale wzlotów w Warszawie.

Korzystając z wolnej chwili, pierwszy raz w życiu oglądałem zblizka maszynę latającą. Wrażenie ogólne jest wrażeniem kruchości i lekkości. Cienkie pręciki drewniane, drutami połączone, cienka materya, chociaż złożona z siedmiu naklejanych na siebie warstw najcieńszego jedwabiu, kryjąca górne i dolne części klatek—oto główny materiał filigranowy i nie wzbudzający poczucia wytrzymałości.

Machina jest duża, w kształcie krzyża o nie-

równych ramionach, bardzo krótkim przodzie i długim, długim ogonie. Ten ogon ma na celu utrzymanie równowagi z ciężkim względnie, chociaż małym motorkiem benzynowym, o sile 60-ciu koni, oraz rezerwoarem benzyny.

Na skrzyżowaniu miejsce dla lotnika. Nie daleko za nim, w tyle, motor i rozerwoar. Pod ręką kółko do kierowania sterem, rządzącym ruchami aeroplanu, umieszczonym w tyle, oraz drugim, t. zw. sterem głębokości, służącym do wznieszenia się w górę i opuszczania na dół, umieszczonym na przodzie. Podobno w następnych wzlotech bar. de Caters będzie brał ze sobą pasażera; nie widać dobrze, gdzie się ten pomieści.

Nie bez wielkiego zdziwienia, w poniedziałek o godz. pierwszej spostrzegliśmy flagę białą, mimo że niebo było bardzo zachmurzone, a śnieg zaczął padać w najlepsze. Takiej pogodzie fatalnej należy zapewne przypisać, że publiczności zebrało się bardzo niewiele. Szkoda.

Wyprowadzając z szopy aeroplan na tor rozmiękły i częściowo śniegiem przyprószony, potem zamieciony. Chwila rozpędu po ziemi, szum motoru, maszyna wznosi się nieco w powietrze, potem niebawem opuszcza się z woli kierownika. Co się stało? Zgubiono rurę mosiężną, łączącą zbiornik benzyny z motorem.

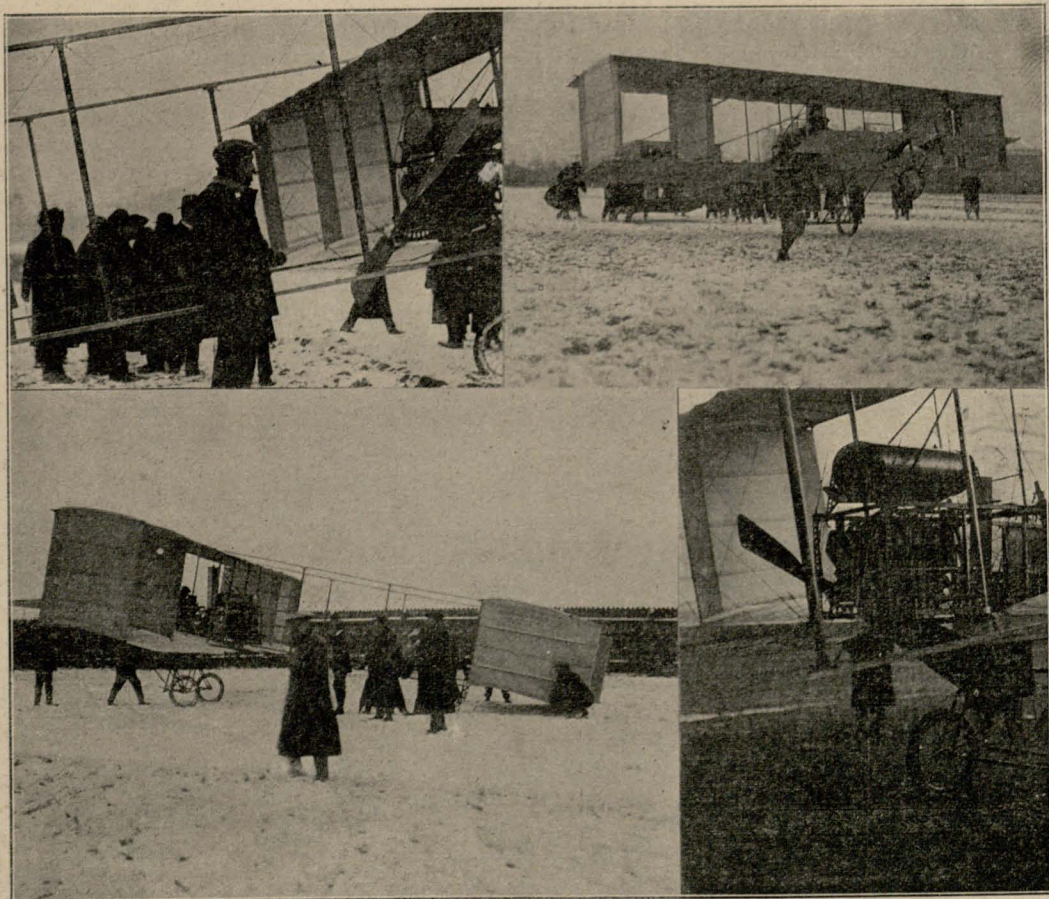
Jeszcze parę nieudanych prób. Trudności są znaczne. Rozmiękły grunt utrudnia rozpęd; warstwy śniegu, pokrywające wszystkie części płaskie, obciążają aeroplan, co naturalnie jest szkocą poważnym.

Nareszcie zmierzcha się już, jest blisko czwarta, kiedy aeroplan śmiało zrywa się do lotu, wznosi się na wysokość dwudziestu metrów, przelatuje przed samymi trybunami, na chwilę zniża się, dotyka kółkami ziemi, wznosi się jeszcze wyżej, blisko na czterdzieści metrów, przelatuje nad parkanem na pole ćwiczeń wojskowych, zatacza łuk, i wreszcie bar. Caters opada zgrabnie przed trybunami. Wszystko to trwało krótko, zaledwie trzy minuty. Ale cel został osiągnięty: widzieliśmy wzlot, choć krótki, ale istotny.

Próby mają się odbywać codziennie, przez dni kilka. Piszę te słowa we wtorek. Śnieg pada w najlepsze, pokrywając ziemię grubą warstwą śniegu. Trudno we wloty dzisiejsze uwierzyć, ale jednak trzeba się przekonać—na miejscu.

— X —

AEROPLAN BARONA DE CATERS W WARSZAWIE.



1) Nieliczna publiczność przygląda się nowej, nigdy nie widzianej maszynie. Baron de Caters (x) 2) Aeroplan wytaczają na pole. 3) Widok ogólny aeroplanu. 4) Motor i rezerwoar benzyny.



Teatr polski w Poznaniu.

Dla nas to więcej niż zwykły przybytek sztuki, to równoważnik idealny całego naszego życia materialnego, jedyny niemal, a w każdym razie najważniejszy pierwiastek duchowy, to nasza pociecha, radość i zarazem troska największa.

Zmienne przechodził koleje i miał chwile rozkwitu i swobody, to znów niepewny wiódł był, ekonomicznie zachwiany, politycznie zagrożony. Ale zawsze skupiał około siebie szczerze zabiegi i gorące życzenia obywatelstwa, zawsze w swych kierownikach znajdował opiekunów prawdziwej sztuki i ludzi, rozumiejących jego znaczenie i zadanie.

Bieg wypadków, zmiany w ustroju społecznym, dążenia artystyczne i ideały, wnoszone do nas przeważnie z zewnątrz, wyciskały na nim swe piętno. Ale nigdy nie schodził on z oka publiczności, nigdy nie zapomniano wrodzonych mu tendencji i szukano zawsze najlepszego dla nich wyrazu.

„Teatr polski w ogrodzie Potockiego” w Poznaniu jest towarzystwem akcyjnym, na którego czele stoi Rada nadzorcza pod kierownictwem każdorazowego dyrektora Banku Związku Spółek Zrobotkowanych. Z natury rzeczy zatem osobistość przewodniczącego wywierać będzie decydujący wpływ na losy teatru, na wybór kierownika sceny, na skład artystów i repertuaru. Nie wchodząc w rozbiór pytania, czy tego rodzaju organizacja, przy najlepszych nawet kwalifikacjach bankierskich dyrektora Banku Związku, zawsze teatrowi na korzyść wychodzi, podnieść należy, że dotychczas przedstawiciele banku wedle najlepszej wiedzy, z poświęceniem czasu i pracy dla teatru działali.

W każdym razie stanowisko ich decydujące będzie zrozumiałe, jeżeli zważy się finansową stronę teatru naszego. Przechodził on po śmierci redaktora *Dziennika Poznańskiego* i zarazem kierownika sceny poznańskiej ciężki kryzys. Z nie małym trudem przeprowadzono sanację, i za dyrekcyi Edmunda Rygiera teatr przy bardzo niskiej subwencji 6 tysięcy marek rocznie stał na własnych nogach, a nawet dawał przy umiejętnej administracyi Rygiera dość znaczne, a zasłużone zyski.

Warunki doby dzisiejszej zmieniły się ideowo, pozostały, niestety, te same pod względem finansowym. Poznań po długich latach ma znów

operę i operetkę przy zachowaniu repertuaru dramatycznego i komediowego. Fakt ten stawia daleko idące żądania radzie nadzorczej teatru i publiczności. Widownia jest szczupła, cen nadmiernie podwyższać nie można, wreszcie i z tem liczyć się trzeba, że społeczeństwo, przy największym wysiłku i najlepszej woli wykupując nawet

swych przedewszystkiem w kierunku stworzenia podstawy dla przyszłej działalności pod względem sceny, dekoracyi i kostymów nie ustawał.

Umożliwiło mu to przy doborze coraz lepszych sił artystycznych danie dwu epokowych w historii teatru poznańskiego przedstawień.

Tydzień Słowackiego, rozpoczęty odsłonięciem pomnika wiejszcza w przedstawniku teatru i wystawieniem „Mazepy”, dał nam, prócz znanych już w Poznaniu dramatów, „Marya Stuart” i „Złota Czaszka”, tragedję „Beatrycy Cenci” w klasycznej sceny systemu wieżowego kulis Reinharda, dyrektora teatru klasycznego w Berlinie. Pełne grozy sceny przed pałacem Cencich i na placu Sant Angelo dopiero na tle tych majestatycznych, pięknych w swej prostocie dekora-

cy wychodzą we właściwej tragicznej charakterystyce. Pierwszy to teatr polski, który, najnowszymi używając środków technicznych, z klasycznym je łączy pierwowzorem. Jest to niewątpliwie zasługą dyrektora Lelewicza, który, podnosząc poziom dramatu samego, wystudyowanego z pietyzmem, pamięta także o wrażeniu zmysłowej całości. Wymienić należy tutaj skończone kreacje pp. Bogusińskich, oraz p. Jarockiej i p. Osterwy.

Drugim wielkim dniem w teatrze było wystawienie „Strasznego dworu” Moniuszki. Orkiestra pod batutą kapelmistrza Lehrera, chóry, wyćwiczone świetnie przez dyrygenta Eichstaedta, soliści: pp. Huss, Szeller, Layman, Ludwig, Hayek, Fotygs, Kopczyński, oraz solistki: Handrychówna, Celińska i Palczewska, złożyli się na całość niezrównaną, nawet w „Halce”, znacznie łatwiejszej, nie osiągniętą. „Straszy dwór” na scenie poznańskiej jest pięknym wynikiem zabiegów i starań p. Lelewicza, który zaskarbił sobie nim wdzięczność Wielkopolski na długie lata.

Najbliższa przyszłość pokaże, czy scena polska kroczyć będzie mogła wskazanymi jej przez nowego kierownika torami, czy będzie można utrzymać operę i dramat na dotychczasowym wysokim poziomie. To jedno jest pewne, że, jeżeli nie przyjdzie jej z pomocą ofiarność społeczeństwa, która z tak pięknej okazała się strony przy wybudowaniu nowego muzeum Mielżyńskich, teatr polski w Poznaniu ograniczyć będzie musiał swój repertuar do komedii i dramatu, podkreślając jak najusilniej przedstawienia ludowe.

TADEUSZ JAWORSKI.



Adam Ludwig, reżyser opery.



Andrzej Lelewicz, dyrektor teatru w Poznaniu.



Józef Lehrer, kapelmistrz opery.

wszystkie wolne miejsca w teatrze—w liczbie 900, utrzymania dla potrójonej dzisiaj liczby artystów, orkiestry operowej, kapelmistrzów, nauczycieli śpiewu i t. p. dać nie może.

Z drugiej strony dochody, płynące z majątku teatru, i odsetki z funduszy ofiarodawców nie pozwalają na podwyższenie dotychczasowej subwencji. Dodać jeszcze należy, że, podczas gdy teatr niemiecki otrzymuje od miasta znaczną roczną dopłatę i rozmaite przywileje od instytucji miejskich, wreszcie znaczną sumę ze skatki króla pruskiego pod warunkiem, że słowo polskie ze sceny niemieckiej nie padnie, nasz przybytek sztuki o własnych siłach musi się utrzymać.

W tych warunkach Andrzej Lelewicz, ulubieniec operetki lwowskiej, we wrześniu 1908 r. objął kierownictwo sceny polskiej w Poznaniu. Sprawiedliwość każe przyznać, że, niezwykłą jego pracowitością, jego wszechstronnymi staraniami, aby podnieść poziom teatru ze strony wewnętrznej, nie tylko że rozwiały wszelkie wątpliwości co do kierowniczej i artystycznej jego wartości, ale zjednały mu w ciągu roku sympaty niepodzielne całego społeczeństwa.

Z natury rzeczy wysunęła się w roku ubiegłym na pierwszy plan opera i operetka, ale sam fakt, że „Halce” wystawiono 36 razy przy wyprzedanym teatrze, że oklaskiwali ją goście z odległych stron Prus Królestwa i Śląska, że przypomniał się szerokim warstwom polski kompozytor, polski obyczaj i strój, pozwala nam zapomnieć o wątpliwej wartości „Wesołych wdówek” i „Druciarzów”.

Nowy dyrektor badał grunt i w zabiegach



„Beatrycy Cenci” (obraz XV). Plac św. Anioła.



„Straszy dwór” Moniuszki. Scena z aktu IV.

DZIWNE ZŁUDZENIA

WZROKOWE.

Ciekawe przykłady omamień, jakim ulega wzrok w pewnych warunkach, podaje dr. J. Fraser w miesięczniku londyńskim *The Strand Magazine*. Złudzenia te ujawniają się uderzająco na załączonych tu ilustracjach.

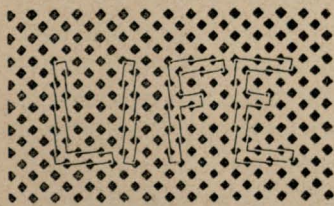
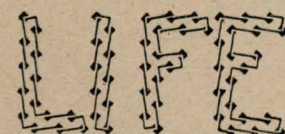
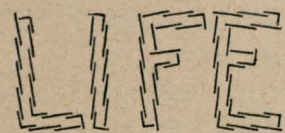
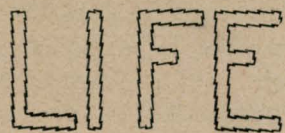


Fig. 1, 2, 3, 4, 5.

W Fig. 1 przedstawia wyraz *Life* (życie), którego głoski utworzone są z kresek, nachylonych zleka z prawa na lewo lub odwrotnie i połączonych z sobą. Głoski wydają się chwiejne i niezupełnie równoległe ustawione. Rozłączmy teraz kreski — Fraser nazywa je jednostkami kierunku — przez usunięcie co drugiej, tak jak na Fig. 2, a złudzenie chwiejności głosek wystąpi jeszcze wyraźniej. W Fig. 3 kreski przedłużono tak, że jedna zachodzi na drugą, w Fig. 4 u końców kresek umieszczono trójkątki czarne, w Fig. 5 połączono trójkątki w kwadraty, tworząc z nich tło dla rysunku, a w Fig. 6 kwadraciki czarne tła połączono szaremi, tak że tło przybiera postać materyjki szkockiej.

Fig. 1 przedstawia wyraz *Life* (życie), którego głoski utworzone są z kresek, nachylonych zleka z prawa na lewo lub odwrotnie i połączonych z sobą. Głoski wydają się chwiejne i niezupełnie równoległe ustawione. Rozłączmy teraz kreski — Fraser nazywa je jednostkami kierunku — przez usunięcie co drugiej, tak jak na Fig. 2, a złudzenie chwiejności głosek wystąpi jeszcze wyraźniej. W Fig. 3 kreski przedłużono tak, że jedna zachodzi na drugą, w Fig. 4 u końców kresek umieszczono trójkątki czarne, w Fig. 5 połączono trójkątki w kwadraty, tworząc z nich tło dla rysunku, a w Fig. 6 kwadraciki czarne tła połączono szaremi, tak że tło przybiera postać materyjki szkockiej.

Fig. 1 przedstawia wyraz *Life* (życie), którego głoski utworzone są z kresek, nachylonych zleka z prawa na lewo lub odwrotnie i połączonych z sobą. Głoski wydają się chwiejne i niezupełnie równoległe ustawione. Rozłączmy teraz kreski — Fraser nazywa je jednostkami kierunku — przez usunięcie co drugiej, tak jak na Fig. 2, a złudzenie chwiejności głosek wystąpi jeszcze wyraźniej. W Fig. 3 kreski przedłużono tak, że jedna zachodzi na drugą, w Fig. 4 u końców kresek umieszczono trójkątki czarne, w Fig. 5 połączono trójkątki w kwadraty, tworząc z nich tło dla rysunku, a w Fig. 6 kwadraciki czarne tła połączono szaremi, tak że tło przybiera postać materyjki szkockiej.



Fig. 6.

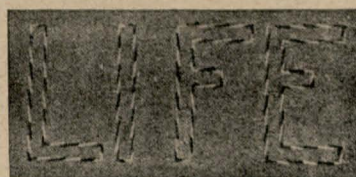


Fig. 7.

Life, a następnie przykłada rysunek, w ten sposób otrzymany, do każdej z sześciu figur następujących. Przekona się wówczas o prostotwie głosek, o której wątpił.

po kółku. W Fig. 12 otrzymujemy złudzenie par krzywizn, dążących w kierunkach przeciwnych, a w Fig. 13 oko widzi cztery pary krzywizn, najdziwniej pokręconych, biegną-

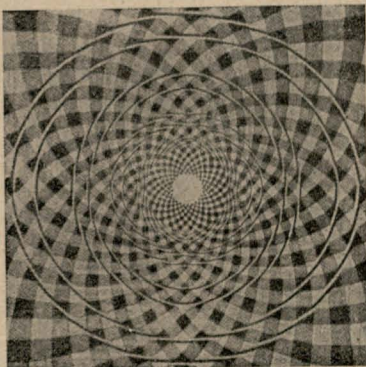


Fig. 8.

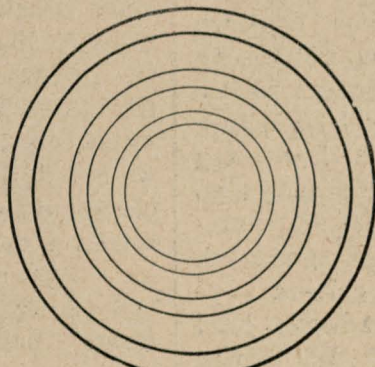


Fig. 9.

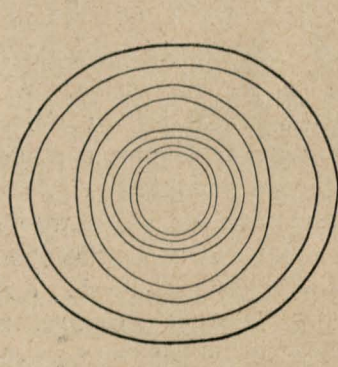


Fig. 10.

Dla uproszczenia objaśnień przyjmijmy, że koła, nakreślone w dalszych figurach, utworzone są ze sznurka, skręconego z pasem czarnych i białych, aczkolwiek wistocie składają się z kresek zupełnie luźnych.

Weźmy następnie tło, utworzone z krutek, zmniejszających się stopniowo, w miarę jak zbliżają się środkowi figury (Fig. 8), i ułożmy na niem jak najdokładniej z owego sznurka czarno-białego koła coraz mniejsze, przyczem, ma się rozumieć, w miarę zmniejszania się obwodu kół musi zmniejszać się też coraz bardziej grubość sznurka. I cóż widzimy? Oto koła te wydają się dziwnie powykęcane, jak na Fig. 10, gdy tymczasem w rzeczywistości mają kształt tak regularny, jak na Fig. 9.

cych także pozornie w kierunkach przeciwnych, choć i tu, i tam mamy do czynienia w rzeczywistości z najdokładniejszymi kołami dośrodkowemi.

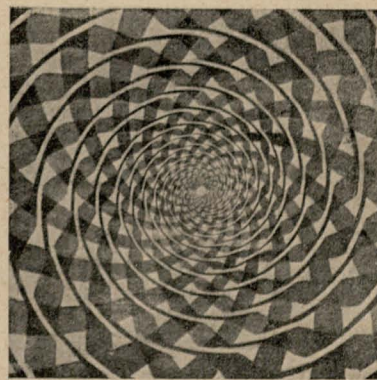


Fig. 11.

W Fig. 14 koła, utworzone przez sznurki, przybierają dla oka kształt kwadratów, w Fig. zaś 15 czynią wrażenie niezgrabnej płata niny,

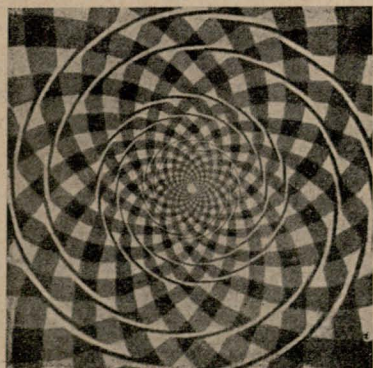


Fig. 12.

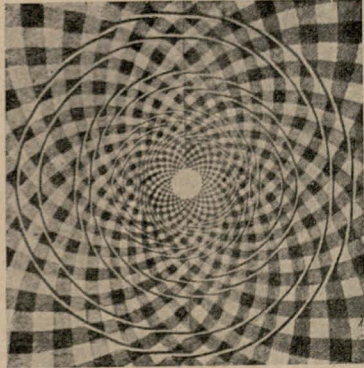


Fig. 13.

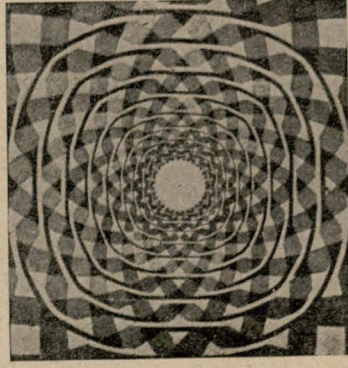


Fig. 14.

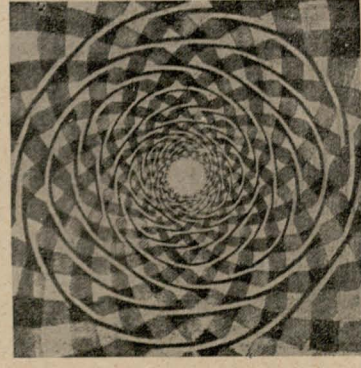


Fig. 15.

Jak widzimy, w każdej z tych figur złudzenie wzroku potęguje się coraz bardziej, dochodząc do szczytu w Fig. 6. Należy jeszcze zauważyć, że w figurze tej odstęp między kreskami pozostały białe, przez co ma się wrażenie, że głoski utworzone są ze skręconego sznureczka czarno-białego, co uwiadcza się na Fig. 7.

Zanim przejdziemy do figur dalszych, utworzonych z kół, pozwalamy sobie podać sceptykom bardzo prosty sposób przekonania się, że głoski w figurach powyższych nie są pochylone w różne strony, lecz zupełnie prostopadłe. Oto niech czytelnik wątpiący przykryje Fig. 1 kawałkiem kalki i nakreśli na niej ołówkiem lub piórem dość grubymi liniami ciągłymi wszystkie cztery głoski, tworzące wyraz

Czytelnik zauważy zapewne, że w tym rysunku kratka podzielona jest przez pasemka sznurka tak, iż w końcu każdej kreski tworzy się trójkącik taki, jak na Fig. 4. Otóż stosownie do tego, jak pasemka przecinają kratkę tła, złudzenie wzroku urozmaica się w sposób zadziwiający.

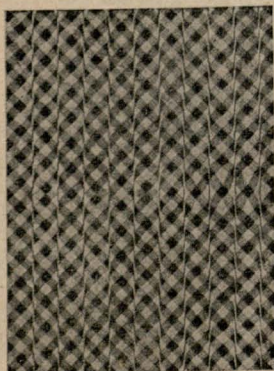


Fig. 16.

rysunku, dokonanego ręką dziecięcą. W Fig. wreszcie 16 sznurki czarno-białe, ułożone prostopadle i równoległe jeden do drugiego na tle z krutek czarnych, szarych i białych, wydają się mocno wygięte pośrodku.

Tak np., spoglądając na Fig. 12, czytelnik gotów byłby przysiąc, że

Ze wszystkich znanych wzorów złudzeń wzrokowych podane powyżej są chyba najbardziej uderzające. Jakkolwiek jednak osiągnięto je środkami tak prostymi, dr. Fraser nie umie objaśnić, jak i dlaczego oko otrzymuje wrażenia tak niezgodne z prawdą.

S. B.



KORNEL MAKUSZYŃSKI:

Romantyczna historia.

1)

Rzecz jest godna zastanowienia, że pan Józef Karczoch został wreszcie złodziejem; a dlatego „wreszcie”, albowiem miłe to z wielu względów indywiduum starało się przez wiele lat przystosować do jakiegoś zawodu, a ściślej mówiąc, starało się zawód przystosować do siebie; jednak każdy zawód przynosił mu niewiele, bo tylko—zawód. Pan Karczoch miał tedy wiele powodów do melancholii; nic mu się nie wiodło. W młodych swoich latach ukradł po raz pierwszy kilka książek szkolnym kolegom, a ponieważ Ellen Key była niemowlęciem dopiero, nie mogła go przeto uchronić przed wpojeniem mu sposobem cokolwiek gwałtownym kilku grubszych zasad katechizmowych. I za co?—za zwyczajną kradzież literacką, mówił pan Józef Karczoch, ukradłem bowiem cudzą książkę tylko...

Zrażony do życia, które na niego patrzyło dość niechętnie, mniej więcej jak policyjny komisarz na przyniesionego do biura podrzutka, pan Karczoch stał się zasadniczo smutny. I to była jego jedyna zasada, chociaż i ją później utracił, co się objawiło dosadnie wesołym pojęciem za małżonkę byłej panny, z jednego zawodu praczki, z drugiego zaś kobiety w całym tego słowa znaczeniu—wolnej. Ponieważ jednak Józef Karczoch wszedł wreszcie w siebie (w braku gorszej spelunki, wchodził w siebie) i ujrzał, że mu się po prometejsku zmniejsza wątroba, wyjadana przez żonę, zbuntował się i zerwał pęta. Okradł tedy małżonkę swoją, a pozostawiając jej cześć i dobre imię, zabrał jej wszystko poza tem, oskarżył ją na policyi o kradzież, co miało być znakomitym wybiegiem w stylu Conan Doyle'a, i wyjechał.

Józef Karczoch bywał w Paryżu (J. d'Artichaut, bez bliższego adresu), był w Ameryce, był w Australii. Przez czas jakiś był matadorem w Sewilli, sprzedawał szkaplerze w Lourdes, szukał złota w St. Francisco, był „jeźdźcem wyższej szkoły” w cyrku w Chicago, był braciszkiem w gminie „ludzi natury”. Ach! był jeszcze wędrownym kaznodzieją, chociaż nie miód mu z ust spływał, lecz wódka, i grał któregoś z Apostołów na scenie w Oberamergau. A potem tragedję historyczną napisał Józef Karczoch, w wielu aktach i w wielu obrazach, pominałszy to, że pisał wiersze. Pisał wiersze smętne, bardzo nastrojowe, bardzo smętne. O miłości pisał. Józef Karczoch miał serce miękkie, miał sentyment duży i bardzo był nieszczęśliwy. Miał zresztą to wszystko, o czem się pisze w krytyce o nowym zbiorze poezji, „który w powodzi tomików tem się odznacza, że i t. d... i na półkach księgarskich wybitne zajmuje miejsce”...

Od takiego wolnego zawodu, jak literatura, jeden krok do drugiego wolnego zawodu; Józef Karczoch sądził tak przynajmniej, tłómacząc się wymownie przed taką łajdacką figurą, jak sumienie, kiedy wyłamywał pierwszy w życiu zamek. Karczoch tłóma-

czył to sobie żądzą niepokromioną przygód; zauważyć jednak należy, że, mimo tego rycerskiego patosu, Józef Karczoch wcale przygód nie szukał i starał się stąpać jak najciszej. Jednak poezja w nim była. Kiedy, włamawszy się do mahoniowego biurka, znalazł paczkę listów, związanych różową wstążeczką, zabrał je wraz z dwoma srebrnymi lichtarzami i całą noc, do białego rana, czytał je i—płakał. Józef Karczoch płakał... Kiedy czytał ustęp: „...bo nie zostanie wtedy, tylko trucizna, i ona mi da rozkosz śmierci, która łaskawsza będzie, niżli Ty byłeś dla mnie...”, Karczoch otarł łzę rękawem i szepotał: „straszne! straszne!...” A kiedy przeczytał: „dziś przespałem noc całą na rewolwerze, czy ty rozumiesz, okrutna, na rewolwerze!...”, Karczoch jęknął: „Ten człowiek cierpiał prawdziwie!” Cały dzień był potem smutny i oba przepił lichtarze.

Czyż nie godzien sympatyi człowiek ten? Głowę miał bardzo dumną, zawsze poważną, twarz nieco dramatycznie ponurą; bujne włosy rozmięzwione, jak przystało na poetę; oczy trochę nerwowo niespokojne, jak przystało na złodzieja; na palcu ukradziony gdzieś sygnet, jak przystało na człowieka nie byle jakiego pochodzenia. Zawsze chodził w tuzurku, którego kołnierz podnosił, albowiem, jako były człowiek natury, nie uży-



Używał też cylindera sposobem ludzi poważnych. St. LENC

wał kołnierzyków, i zawsze miał lakierowane kamasze, chociażby doprowadzone do tego stanu błyszczącej świetności z żółtych kamaszy, polakierowanych czemś świecącym, byle czarnem. Używał też cylindera sposobem ludzi poważnych: szewców, poetów i profesorów uniwersytetu, radców miejskich i przedsiębiorców pogrzebowych.

A oto ujrzymy Karczocha w dziele jego. Wieczór już jest bowiem, i pachną bzy, gąszcz bzów, kryjących ustronną, samotną willę, w której jedno okno tylko oświetlone patrzy z głupia w zmrok wieczorny. Karczoch krąży dokoła, jak zadumany, samotny włóczęga, który przyszedł słuchać słowików.

Rozanielił go cichy wieczór wiosenny. Karczoch zdjął swój cylinder, przystanął i dyszał; zdaje się, że nie obchodziło go nic na świecie, prócz bzów i chrabąszczy. Bodaj, czy w tej chwili nie szukał rymów, bo zamyślił się bardzo, zupełnie machinalnie splunął na cylinder i machinalnie począł go gładzić rękawem; w ten sposób przybywało mu blasku, co Karczoch cenił nadzwyczajnie.

Cicho było i coraz ciszej; Karczoch powlókł się ostrożnie w cień, obejrzał się i czekał. Coraz ciszej, wille w oddali zaczęły do siebie gadać rozświetlonemi oknami, jak oczyma. Potem im oczy ślepy, ciemność była dokoła, tylko w samotnej willi okno mlało światłem. Karczoch ostrożnie posunął się ku ogrodzeniu i pilnie patrzył; sylwetka kobieca mignęła kilka razy na szybie.

— Samotne biedactwo!—pomyślał Karczoch—mąż bałwan gdzieś pije...

Karczoch był z gruntu poczciwy.

Obejrzał się jeszcze kilka razy, bardzo poza tem spokojnie i zaczął mozolnie przełazić sztachety.

— Jak Napoleon przez Alpy—szepnął, wydostawszy się na terytoryum, tabularnie nie na niego zapisane.

Przystanął i nasłuchiwał.

Nic... Cisza... Karczoch zrobił gębę groźną, jak wypadało z chwili, i zaczął się ostrożnie posuwać ku domowi. Omijał kwiaty, aby ich nie deptać. Bardzo miły złodziej...

Wszedł na schody. Cicho... Drzwi otwarte. Karczoch wytarł nogi o rogózkę i wsunął się przez drzwi tym piruetem węzowym, jakim wchodzi złodziej do cudzego mieszkania, żydowin z wekslem, poeta początkujący do gabinetu literackiego referenta, petent do ministra, aktor do dyrektora, mąż, wracający późną nocą.

W przedpokoju, jako żywo! Karczoch zdjął z głowy cylinder.

— Kobieta jest w tym lokalu—pomyślał—trzeba być z uszanowaniem.

W tej chwili trącił nogą jakoweś wieśzadło, i pot mu wyszedł na czoło.

— Katakizm!—pomyślał—Apokalipsa!—albowiem Karczoch nawet w chwilach niebezpiecznych używał wyrażen tragicznych, z domieszką patosu. Ukrył się za czemś tam i czekał. W przyległym pokoju ktoś się ruszył i biegł ku drzwiom. Niewiasta piękna wyrzała przez drzwi i zaszczębiotała: „Toś ty?”—Nic. Cisza. Karczochowi serce podrywało się w piersi; niewiasta zamknęła drzwi i poszła.

— Uciszyć się, serce! — szepnął Karczoch — to była rusalka.

Potem stąpał dalej.

Otworzył jakieś drzwi, potem drugie. Padła nań biała struga światła z oddalonego pokoju, w którym się świeciło. Karczoch zmrużył oczy, potem patrzył. Niewiasta czytała, czy coś takiego. (Co może robić niewiasta?) Bardzo była niespokojna i ciągle spoglądała w stronę drzwi, wiodących do przedpokoju.

Karczoch spojrział na nią z zadowoleniem.

— Nie do twarzy jej tylko w białem — pomyślał — zresztą owszem, owszem...

Rozpatrywał teren działania; był w salonie czy czemś takim; podszedł do kominka, na którym stały dwa biusty niewieście. Z lekka stuknął palcem w jeden.

— Bronz! — szepnął — bardzo słusznie. Coraz mniej na świecie bronzów. Dywany także niezgorsze...

Rozejrzał się po pokoju z miną znawcy, jakby galerię oglądał. Zauważył, że okno do ogrodu otwarte, co go napełniło zadowoleniem. Zdjął tedy pocichutku oba biusty z kominka i złożył je w pobliżu okna. Potem drobiazgi wybierał ze znajomością rzeczy; zachowywał się, jednym słowem, jak dyrektor muzeum.

— A to co? — szepnął nagle.

Skrzypnęły w oddali drzwi, ktoś przyszedł. Karczoch spojrział ostrożnie; niewiasta zerwała się z krzesła i zawisała komuś na szyi. (Cóż może innego robić niewiasta?). Karczoch stał niezdecydowany; dość niebezpiecznie było czekać. Ukryć się? Niema gdzie... Więc patrzył. Niewiasta

okrywała młodą jakowegoś gentlemana pocałunkami.

— To nie mąż... — rzekł sobie bardzo słusznie głęboki znawca życia, Józef Karczoch.

I niewiadomo dlaczego, uradował się. Kombinował bardzo rozumnie:

— To nie mąż, z całą pewnością, a jeżeli nie mąż, w takim razie on się więcej boi ode mnie, chociaż ja się właściwie nie boję. Bo mnie tylko zamkną, a jego nabięją... *Je m'en fiche* — zakonkludował wreszcie, albowiem we Francji bywał.

Lecz się stała rzecz przykra, albowiem piękna pani i piękny pan zdradzili wyraźną ochotę przejścia w miejsce operacji Karczocha.

— Moi chlebodawcy tu idą... Do diabła! To może być moje Waterloo! — jęknął Józef Karczoch i dał susa drogą kochanków, księżycy i złodziei, przez okno.

— Ha! — jęknął głęboko...

Przewrócił kogoś i został ujęty za nogę.

Ten ktoś porwał się z ziemi i zdradzał ochotę, zgoła barbarzyńską, zaduszenia ozdoby złodziei, wykwintnego poety w wolnych chwilach, Józefa Karczocha, autora historycznej tragedii.

— Kto to? — ryczał, cicho wprawdzie bardzo, lecz ryczał, człowiek niewykwintny, do którego Karczoch już od pierwszej chwili poznania poczuł gwałtowną i wcale nie ukrywaną niechęć.

Karczoch podniósł się z trudem i rzekł z niesmakiem:

— Złodziej, do usług...

Zaznaczyć jednak należy, że wcale nie pochylił głowy.

— Łajdaku!



Zdjął tedy pocichutku oba biusty z kominka.

St. LENC

Karczoch spojrział poważnie, można nawet rzec, tragicznie:

— Nie mam przyjemności znać pana...

Była w tem duma człowieka, nad którym ciąży wprawdzie przemoc, ale człowieka, który ma manieri.

Jegomość, który zawładnął wybitną indywidualnością Józefa Karczocha, spojrział na niego z wściekłością.

— Czegoś tu chciał, łotrze?

Józef Karczoch oglądając go powoli, z pewnego rodzaju politowaniem; wyjął wargi, uśmiechnął się bardzo, ale to bardzo ironicznie i rzekł szeptem, wybijając wyrazy, bardzo znacząco:

— Szanowny pan pozwoli... Szanownemu panu idzie zapewne o to, aby teraz, mówię wyraźnie: *teraz*, nie podnosić głosu... Więc się dziwię, że szanowny pan tak krzyczy, powtarzam: krzyczy. Daruje pan, ale innego wyrażenia użyć na to nie mogę.

(DCN)

MARYA RODZIEWICZÓWNA:

STARZEC.

2)

Sieczkłem rzezał, aż Magdusia wpada i krzyczy:

— Antek, ratuj Kacpra! Ubiją go!

Poleciałem, kół porwawszy. Kacper był jednego już przytkłk, ale dwóch go powaliło, i bili. Dopadłem — i po nich. Popadali, jak gruszki, a tu ludzie nadbiegli — i na mnie. Bronilem się, com mógł, nie dałem rady.

No, i z tego sprawa się zrobiła. Kacper chodził, krwią pluł, dzieci były drobne, płacz w izbie. Myślę, jemu nijak w kryminale gnić, kobiety zaczęły modlić: zlituj się, winę na siebie weź, nie gub ojca dzieciom, jakże on będzie arezstantem! Calej familii hańba! No, i prawda!

Tak tedy na mnie wszystko złożyli. Do stałem ośm miesięcy więzienia.

— Ciężko było? — spytał dziad.

Antoni chwilę pomyślał.

— Z początku ciężko. Bez roboty, duszno, brud. Dokuczali inni. Potem przestali: służyłem im i za każdego służyłem, byle nie próżnować. Moc jeszcze była zdrowia. Tylko męka była z robactwem, i tak, czegoś, w gromadzie byłem, a zdawało się pusto. Ni z kim pomówić, ni kogo posłuchać, jakoś cudzo!

Ale powiedzieć, że ciężko nie do wytrzymania było to nie. Moc była, człowiek w siebie ufał! Myślał: bieda minie, wróci do swoich, właśnie w sianokos, na robotę gorącą, ucieszę mu się! I ucieszyli się, jakby mnie Bóg im odesłał!

Kacper nijakiej mocy nie miał. Żółty był, chudy, kaszlał. Zagon wywojował, ale nawet popatrzeć nań nie mógł, bo daleko mu było zajść tam. Pilnował chaty, a najwięcej leżał. Kobiety niby to młyn narządzały, ale robota to była, że pożał się, Boże!

Wtędym rękawy zakasał, i poszedł ruch.

Dałem rady i roli, i inwentarzowi, i mlewu. Pot nigdy nie wysychał, i sen nie brał, nie było czasu, a ochota i moc, zda się, przybywała.

Jesienią baby poczęły mnie zagabywać: swatać! Powiedziałem o tem naszej starej, jako matce. Rozfukała się, co to? niema tu chleba, żebyś na cudzy szedł! Nie obszytyś, nie obmyty, bez pościeli? Wyhodowałam ciebie sobie, nie ludziom.

Za serce mnie wzięła tem słowem, jako matka. Przepędziłem precz swachy!

A Kacper na jesieni, jak legł, tak i nie wstał, a w adwencie pochowaliśmy go. I jednego chleba biedak nie spożył z tego zagona.

— Bezrozumny był! — rzekł dziad.

— Oho, wcale! Uczony był, piśmienny. Z każdym do rzeczy pogadać mógł.

— No, i co z tej nauki mu przyszło? Kto go teraz wspomina, żałuje? Kto pacierz zmówi?

Antoni umilkł, zamyślił się. Stary, jakby wiedział, co potem przyszło, co teraz było we młynie.

Po chwili znowu opowiadać jął. Rad był mówić tak wszystko po kolei takim, co rad słuchał. We wsi ludzie te dzieje znali, i ktoby tam słuchał historii Antka Żórawla, młynarskiego parobka. Mieli dość swoich spraw i kłopotów.

— Pochówek miał Kacper bogaty, i płaczu po nim było i matczyne, i żoninego.



Dopadłem—i po nich. Popadali, jak gruszki.

ANTONI PIOTROWSKI

Dzieci jeszcze małe, głupie, to ich to nie obchodziło!

Potrochu żał przeszedł. Chorzał tyli czas, to i kłopotu było z nim niemało, a w robocie znaku nie było, że pomarł. Dawałem wszystkiemu rady. Aż i na mnie bez pory koniec przyszedł. W marcu we młynie robota była, wicher ostry, stałem u kosza, sypałem ziarno, wtem raptem jak coś zatrzeszczy, jak się coś na mnie nie zwali, i już nie wiem, co się dalej stało.

Wiatr się odwrócił raptem, śmiga trzaśła, wiązanie we środku pękło i wzięło mnie pod siebie.

Wydobyli mnie nieprędko, w kawałkach. Noga była złamana w biodrze, rozdużone piersi, rozkwaszona głowa, nic nie zostało całego. Żebyż mi dali w spokoju ducha wtedy wyzionąć, nie ratowali, nie wozili, nie cucili. A to tyle męki przecierpiałem, i tyle było ze mną fatygi, i taki koszt.

— Boś śnać potrzebny był komuś.

— A właśnie, że już nie. Całe lato wyleżałem w szpitalu. O Jezu, co za męka była, a przecie nic się ze mnie dawnego nie ostało, ni mocy, ni zdrowia, i nikomu już z ludzi na nic się nie zdam.

— Mniemasz, że słabszych niema nad ciebie?

— Skądby? Nie może być!

— I nieszczęśliwszych, i biedniejszych.

— Nie!

— A ja ci powiadam, że jeszcze dobrodziejem będziesz i tramem czyjegoś domu!

Antoni popatrzał na dziada. Siedział, cały jasny w blasku ogniska, i swemi ślepymi

oczami kędyś patrzył w górę. Zdało się Antoniemu, że widzi przez polankę sznur na olchowej rososze.

— Nie, dziadu, nie będę już robił i służył innej szukał. Dość służyłem, dość się nażyłem. Onegdaj wróciłem ze szpitala. Stara młynarka w grobie, a u Magdusi drugi mąż. A ja niepotrzebny, bo bez mocy, a teraz zima idzie, żórawiom gniazd niema, ni żeru. Trzeba ciągnąć silnym za morze, a słabym ostać w borze! Ot, jako w pieśni śpiewają!

Umilkł, zgarbił się, rękami objął kolana i wżar się zapatrzył.

Wtem stary się poruszył, przechylił głowę, nasłuchiwał.

— Co słyszycie?—zagadnął Antoni.

Dziad powstał.

— Słyszę dziecinny płacz sierocy. Iść nam trzeba. Chodź, a zabierz, co twoje.

— Moje? Nic nie mam!

— Myślałem, z młyna co wzięłeś!

— Ale. Sznura kęs.

— Zbierz nieco gałęzi suchych, uwiąż weń, ile zdązysz unieść. Tam trzeba!

Antoni znowu usłuchał rozkazu. Gdy brzemień zarzucił na plecy, stary ujął go za rękę i poszli.

Księżyc świecił, i Antoni myślał tylko, by dziad się nie potknął, nie zaczepił o gałęzie, i tak wyszli na drogę do miasteczka.

— Nie głodnyś, synku?—spytał dziad.

— Gdzie zaś! Smaczny wasz chleb, syty! Do miasteczka chcecie? Macie tam swoich?

— Mam. Zawiedziesz mnie do rynku, a potem uliczką ku cmentarzowi, pod górkę,

aż do chałupy, przy której stoi wysoka kominiarska drabina. Tam moi mieszkają.

Teraz droga widna była od miesiąca, brzoza objęta. Szli równo. Antoni nie czuł, swej chorej nogi, a ślepiec, zamiast mu ciążyć, zda się, wspierał. Dłoń w dłoń szli, pobok.

— Musiało wam być ciężko zaniewidzieć. Jasność oczu stracić niedola to nad niedole.

— Można otwarte mieć i widzące, a bez jasności i ślepym być. W człowieku wszystko dwojake jest. Jedno pilnować trzeba, a o drugie nie stać.

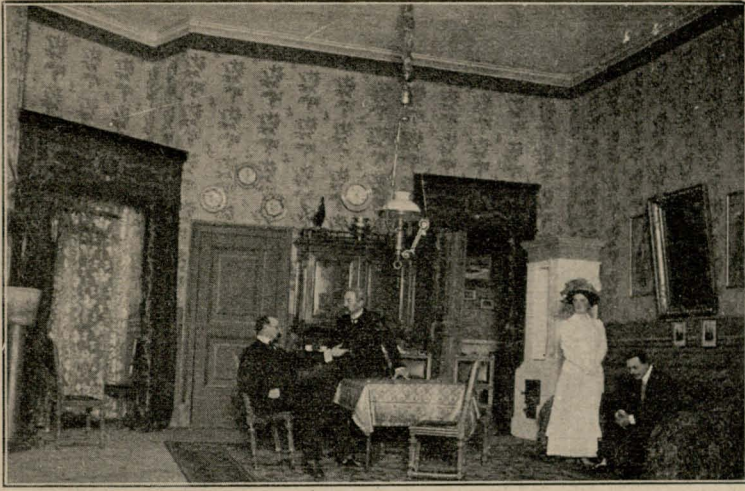
— Nie rozumiem was.

— Nie rozumiejąc, mądrześ czynił dotychczas. Ręce są, co garną i co dają, nogi są drogi świadome i błędne, oczy są z duszy i w duszę patrzące, i takie, co ino wiedzą, do czego dotknąć można. I wszystko porzucić tu trzeba i te ręce, co garną, i nogi obłąkane, i oczy, szukające korzyści. Wszystko to nie nasze, więc stracić trzeba. Ale nie mogą stracić ręce, co dają, ani ustać nogi, co wiedzą, kędy idą, ani oślepnąć oczy, co duszę mają za jasność. I nie jest moja niedola, żem ślepy, bo widzę, nie patrzący, i idę, kędym posłany. A wiesz ty, kto z nas dziś ślepy był? A wiesz ty, kto kogo prowadzi? A wiesz ty, kto komu posłany był, by na drogę wyprowadził, ścieżkę odszukał?

— Co wy, dziadu, prawicie. Powiedzcie, słyszeliście o mnie? Znacie? Nie może być! Nie widziałem was nigdy.

— A ja wiem o tobie.

(DN)

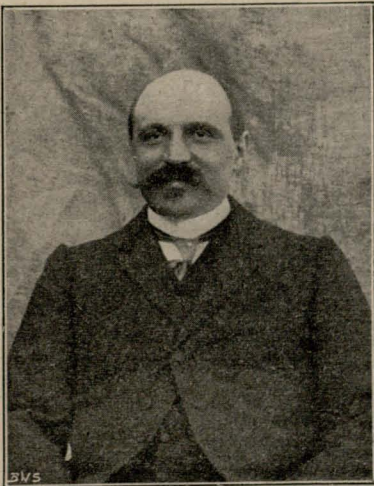


Scena z komedii Tadeusza Jaroszyńskiego „Sąsiadka”. Pp. Kamiński, Wojdałowicz, pani Ordon-Sosnowska i pan Nowicki.

Nasi przyjaciele we Francji.

PORUCZNIK LEON BERNARDIN.

Urodzony 26 kwietnia 1878 roku w Grange-de-Plombières w Wogezach, a służący obecnie przy pułku piechoty w Epinal, porucznik Leon Bernardin oddawna zajmuje się sprawami naszymi i może być zaliczony w poczet najgorętszych przyjaciół Polski. Stwierdzenie wspólności interesów polskich i alzacko-lotaryńskich skłoniło go nasamprzód do zainteresowania się naszym losem, a później do umiłowania naszych celów i dążeń. Chwile, wolne od zajęć zawodowych, poświęca p. Bernardin studiom historycznym: niedawno ogłosił historię domu Joanny d'Arc w Domremy-



Leon Bernardin.

la-Pucelle i opis znajdującego się w nim muzeum; bitwy i wojny, fortece i żołnierze, którymi wyróżniło się pogranicze niemieckie, oto ulubione przedmioty studium porucznika Bernardina. Dla zaznajomienia swych ziomeków z kulturą Alzacji i Lotaryngii założył do współpracy z p. Georges Ducrocq'em i zgasłym niedawno Charles Demange'em kwartalnik artystyczno-literacki p. n. *Les Marches de l'Est*; z p. A. Philippe'em opracowuje *Historię rewolucji w Wogezach*. Mianowany członkiem-korespondentem Muzeum Narodowego Polskiego w Rapperswilu, co roku bywa obecny na zjazdach, żywy w nich biorąc udział. P. Bernardin wszedł do utworzonego niedawno w Paryżu Komitetu Franko-Polskiego, w którym, dzięki swym stosunkom i dzięki swemu zamiłowaniu dla sprawy, duże oddaje usługi. Od kilku lat informuje p. Bernardin stale pisma lotaryńskie o sprawach polskich, pisząc bądź o rzeczach minionych, bądź o aktualnych, zawsze ze znajomością i ze zrozumieniem przedmiotu. Najważniejszą jednak stroną jego działalności polskiej są liczne odczyty, jakie o naszych sprawach wygłasza w swoim kraju; tegoroczną serję pogadarek rozpoczęła dnia 26 listopada: pod protektoratem miejscowego towarzystwa geograficznego w Epinalu ma mówić o stanie spraw w dzisiejszej Polsce. K. W.

Szkoła „Małego Świątka”.

Parę tygodni temu poświęcono dziwną, jedy-ną może szkołę na świecie, ufundowaną przez... dzieci, mające od 8 do 12 lat! Oto w gronie dzie-ciaków, czytających *Maty Świątek*, pismo, redago-

wane przez p. Lewicką, w gronie tych jasnych, serdecznych główek powstała myśl, która musi każdego przejąć rozrzewaniem, radością i dumą: postanowiono zbierać centowe oszczędności na cukierki i łakocie i przesyłać je kochanemu *Małemu Świątkowi* na fundusz szkoły, która w przy-



Anna Lewicka.

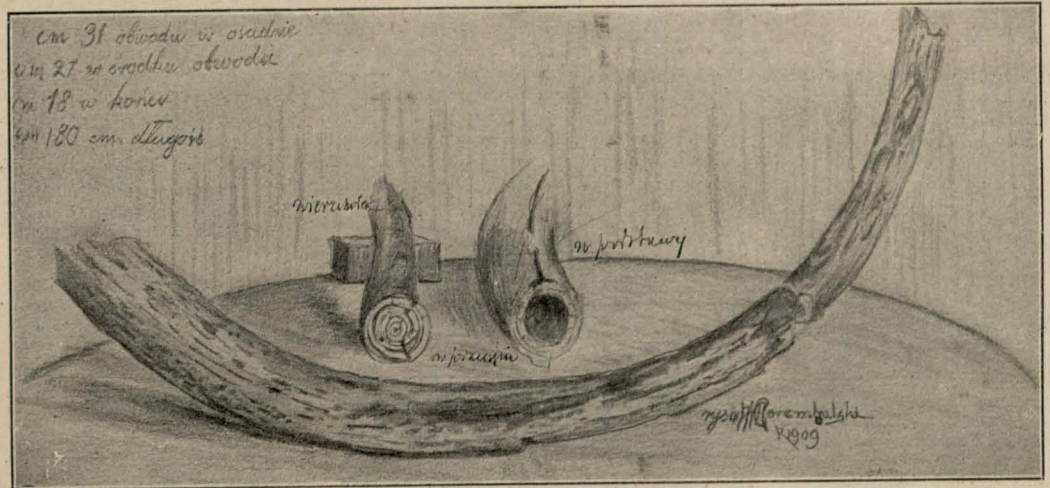
szłości miała stanąć w miejscu najbardziej zagro-żonym i pozbawionem zupełnie placówki narodo-wo-oświatowej. I przez parę lat płynęły balerze i piątki, z zapalem i wytrwałością, nie podsycan-ą sztucznie, z ochotą i ofiarnością, która każe uchylić czoła przed temi małymi serduszkami, któ-re tak pokochały i zrozumiały zadanie, któreby wydawało się za wielkie na ich drobne barki; prześcigano się formalnie w ofiarności, wyrzeka-no się zabawek i podarunków, spieniężano niepo-trzebne rzeczy, aby tylko jak najwięcej przestać na ręce „drogiej paniusi redaktorki”, którą maluczyzy czwelnicy czczą i kochają ogromnie. I oto po kil-ku latach uskładano kilkanaście tysięcy koron, zakupiono grunty w Kulikach (Galicya wschodnia) i wybudowano nareszcie upragnioną szkołę, w której, prócz czytania, pisania, historii polskiej i geografii, uczą się chłopcy i dziewczęta rzemioł- i gospodarstwa. Dzień poświęcenia tej szkoły był też dniem uroczystego święta dzieciaków, które zjechały się, aby narozkoszować się widokiem te-go, co malutkie ich, drobne rączyny wzniosły; był on też dniem hołdu dla dzielnej p. Lewickiej, która takich „czytelników” potrafiła sobie wy-chować.

Autorzy polscy zagranicą.

Znakomita powieść Elizy Orzeszkowej, *Meir Exofowicz*, została przetłumaczona na język fran-cuski przez znanego tłumacza dzieł Sienkiewicza, p. B. Kozakiewicza. Pisma francuskie podnoszą

zdeptał i pierścień ślubny dał dziewczęciu znie-nawidzonego plemienia? Czy to mało? A były i inne. Gdybym inną stworzył Winnildę, złąbym stworzył. Mogłaby być „rycerską dziewczicą” zawsze, ale nie byłaby córą Gerona, dzieckiem jego krwi i kości—kobietą wieku. A teraz, grafie możny, szlachetny Willigu, broń siebie, boś nazwan zo-stał „tchórzem i pachotkiem, pozbawionym czci ry-cerskiej”. Podczas uczyły geronowej stajesz przed zemstą dyszącą kochanką. Z ust jej płyną słowa obelżywe, urażające ciebie, a ty co? Może u stóp się jej czołgasz? drżysz? bledniesz, pachotku trwożliwy?... Niel... Gdy Geron miecza dobył, a wokół błysnęły oręż, rzucasz w odpo-wiedzi słowa wyniosłe i dumne: „Bądź mężem, wtedy twe słowa padalce na wieczność całą grób bezstny schowa” i t. d. Pytanie: jakby Sz. krytyk w tej chwili kazał bohaterowi swojemu postąpić? Czy z pięścią rzucić się na... kobietę? Chyba nie!... Złając ją od ostatnich, jak to mó-wią. I to nie wydaje mi się prawdopodobne: wtedyby rzeczywiście sam siebie pozbawił czci rycerskiej. Graf-tchórz, pod grozą dobytch mie-czów hardo przemawiający, nie zdaje mi się być tchórzem, a zlekceważenie słów białogłowskich odpowiada zupełnie pojęciom ówczesnym—i pa-chotkiem takiego pana zwąc nie wypada. Pozo-staje Mszczuj jeszcze Z zarzutu, mi zrobionego (*nie umotywowane* ukazanie się Mszczuja), widzę, że Sz. krytyk wcaleby go nie pokazał. I oto wtedy *nieuka-zanie* się jego byłoby całkiem nie umotywowane. Ten Mszczuj, *dokonywający* przysięgi, poświęcają-cy wszystko i wszystkich dla idei zbawienia oj-

CIĘKAWY WYKOPALSKA.



Przed paru tygodniami ludzie, kopiący glinę w głębokim parowie, pomiędzy starostwem a komorą celną, na terytorium zawichojskim, natrafili na dwa kły mamuta, a sądząc, że są to korzenie blisko stojącej topoli, przy wydobywaniu połamali je. Jeden jest cieńszy, a drugi grubszy. Obadwa mają kształt sierpowaty, powierzchnię gładką, gęsto pokrytą plamami rdzawymi, wewnątrz są białe, ściśle z warstw grubych złożone. Poszukiwania innych części mamuta dotąd do niczego nie doprowadziły.

wartość wysoką powieści i wielkie zalety tłuma-czenia. „Z pośród tych obrazów czarującego rea-lizmu—czytamy w jednej recenzji—wysnuwa się w miarę czytania wielka piękność liryczna, autorów i muzyków. Publiczność francuska powinna zgo-tować szlachetnemu dziełu Orzeszkowej ten sam los, jaki był udziałem *Meira* w jego ojczyźnie.”

Kilka słów odpowiedzi

P. A. DROGOSZEWSKIEMU.

Nie polemika, lecz rycerskie starcie się, bo p. Drogoszewski należy do rzędu tych krytyków, ponad których sądem nie przechodzi się do por-ządku dziennego i dlatego muszę stanąć w obro-nie „wścieklej dziewczki”, z „rycerskiej dziewczicy” zrobionej, „możnego grafa Williga, który zachowuje się nie jako rycerz, lecz jak tchórz i pachotek”, i Mszczuja, którego *ukazanie* się jest nie umotywo-wane. W zarzucie, tyzącym się Winnildy, Sz. krytyk zgrzeszył nieznajomością złożonej duszy kobiecej. Urażona w uczuciu, niejedną z niewiast dziś nawet znęcać się potrafi nad tą, która jej wydarła umiłowany lub pożądany przedmiot. Sprzeczać się o to to rzucanie słów na wiatr. Sz. krytyk nie widzi *podtekstów do znęcania* się. Czy nimi nie są: zdrada tego, który pierwszy sięgnął po czar jej wdzięków, zawiódł ufność, jej dumę

czynny, ma być postacią *chybioną*, bo w *dokonaniu* tego, co zamierzał, Sz. krytyk nie dostrzegł umoty-wowania pojawienia się jego. To przeoczenie niesprawiedliwie zemściło się nad moim Mszczu-jem, a już nie wiem, kiedy to ten mściciel „*kureczy się w kartę*, na którym *cierpienie skóra ze strachu*”. Czy przed grozą krwawych wojsk Gerona, gdy chwilowa trwoga go ogarnia, że marzenia jego prysnąć mogą? Taka trwoga, nawiedzająca w mil-czeniu duszę ludzką, jest właśnie zupełnie ludz-ką, i tylko człowiek bez nerwów, które podlegają napięciom się i rozprężeniom, nie zna tych chwiań się wewnętrznych, zmagani się własnej duszy szatanem O inne drobności nie zawiódł już sporu, a jeżeli stanąłem w obronie Winnildy, Her-mana i Mszczuja, to tylko dlatego, że przeciwni-kiem moim jest—Drogoszewski.

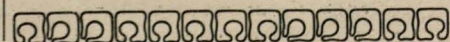
KAZIMIERZ GLIŃSKI.

Szanownych prenumera-torów „Tygodnika Ilustro-wanego” prosimy o wnie-sienie opłaty na kwartał czwarty roku bieżącego.

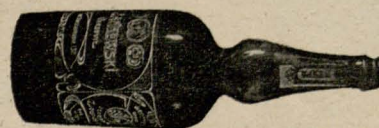
W. Golińska
PLAC TEATRALNY, POD FILARAMI,
PERFUMY, WACHLARZE, SZPILKI.

**LEOPOLD KOCH, MIODOWA 2.
NAJLEPSZE UBIORY MĘSKIE.**

TOW. S. I. CZEPELEWIECKI i S-wie
poleca:
Mydła, perfumy „ANTIQUÉ”, wody koloń. kwiat.
Mydła, perfumy „GOÛT d'OR”, wody koloń kwiat.
Mydła, perfumy „IDEAL”, wody kolońskie kwiat.
Mydła, perfumy „CAPRICE”, wody kolońskie kwiat.
w 20 za-
oraz **NOWĄ WODĘ KWIATOWĄ** pachach.



ZIOŁOWA



F. JANKOWSKIEGO.

MEBLE STYLWY M. KALMUS
MARSZAŁKOWSKA 141. TELEFON 28-87.

„ŚMIECH” Tygodnik humor. ilustr. HOŻA 44,
w Warszawie kwartalnie rub. 1,
z przesyłką kwartalnie rub. 1 k. 25.

BIELIZNA MĘSKA I DĄMSKA
K. Dutkiewicz, Ś-to Krzyska 30, w Warszawie.

GŁOŚNY PROCES: MATKA I CÓRKA.



Proces pani Steinheilowej skończył się tak, jak należało się spodziewać: uniewinnieniem oskarżonej. Widzimy ją tu w towarzystwie obrońcy, Aubina, obok zaś ofiarę—tę, której nie było na procesie: biedną córkę oskarżonej, Martę.

ZMARLI.

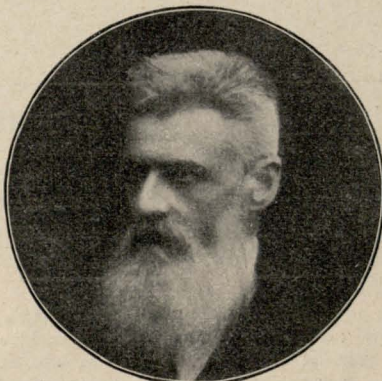
Dr EDWARD KORNIŁOWICZ, jeden z wybitniejszych psychiatrów polskich, zmarł w Warszawie, w wieku lat sześćdziesiąt. Po ukończeniu gimnazjum w Kownie i uniwersytetu warszawskiego,



poczem został ordynatorem kliniki psychiatrycznej tegoż uniwersytetu, ogłaszał liczne prace naukowe, był współwłaścicielem *Gazety Lekarskiej*. Po opuszczeniu szpitala Ujazdowskiego, w którym przez czterdzieści lat praktykował, zmarły poświę-

cił się pracy społecznej, był prezesem Towarzystwa opieki nad nerwowo i umysłowo chorymi, oraz brał czynny udział w pracach Towarzystwa lekarskiego i Towarzystwa higienicznego.

STEFAN DĄBROWSKI, artysta-malarz, był członkiem komitetu Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych, zmarł w Nałęczowie. Zmarły odznaczył się szczegól-^{nie}, jako niezastąpiony wprost dzia-



łacz w Muzeum rzemiosł i sztuki stosowanej. Jego działalność pedagogiczna na tem polu przyniosła owoce niepożyte. Jako człowiek zacny, charakteru nieposzlakowanego, cieszył się sympatją i uznaniem w szerokiej kołach społeczeństwa; śmierć jego wywołuje żal nieklamany.

Pokłosie wydawnicze.

Aleksander Bugski, z cyklu „Dusza”. Dzień chaosu, serya druga, z portretem autora, Warszawa - Kraków, 1908.

Nie mówilibyśmy zgoła o p. Aleksandrze Bugskim, gdyby nie to, że chcemy... zabawić naszych czytelników. Zabawić opowieścią o tym „pocie”, co w prologu woła do bóstwa „Prawdy, co kole”: „Wielorybom morskim brzuchy podszyszasz, tyle bibuły, tyle słów masz, nie w Duchu twa potęga, lecz w słowie, daruj mi, Muzo, bluźnierstwo moje”. To jest, z przeproszeniem, wiersz. A oto próbka prozy, na chybi-trafi, gdzie się książ-

ka otworzy, wybrana: „Do wierzchołka karłowatej, pełnej porostów i brodawek skały, zwisająca bym powietrza córa skamieniała łona urwiska ziemi. Tam pnie się z całych sił, nieprzerwanym wściekłym szlochem, strzaskanej boleściami piersi: nędzny, hartowne, nieprzewyciężony losami ślepych przywidzeń uporu ziemi, pnie się szermierz prawdy Błękitów bezkresowych Wieczności”. Dosłownie!... Panie Bugski, weź się pan do innego rzemiosła!

Przewodnik po Częstochowie i okolicy, z 40-ma rysunkami, planem m. Częstochowy i mapą okolic, nakład Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego, Warszawa, 1909.

Częstochowa z przed lat i dzisiejsza, wspomnienie historyczne i rys geograficzno-statystyczny, opis bliższych i dalszych okolic Częstochowy (Kłobucko, Krzepice, Olsztyn, Potok Złoty, Kruszyna, Gidle, Święta Anna, Mstów), wreszcie wyczerpujący dział informacyjno-adresowy, a wszystko gęsto i porządnie ilustrowane (około 40 rysunków), oto zawartość „Przewodnika po Częstochowie i okolicy”, ułożonego przez instytucję naj-

bardziej do tej pracy powołaną. Polskie Towarzystwo Krajoznawcze w Warszawie. Powaga tego zrzeczenia zaręcza najlepiej ścisłość informacji i sumiennosc wykonania tej pracy, która ze wszystkich dzieł przegodnych o Częstochowie najwyżej się wzniosła.

SZPIEG PRUSKI.



Bolesław Rakowski, szpieg pruski, którego rewelacje, przeważnie fałszywe, narobiły w ostatnich tygodniach wiele niepotrzebnego hałasu.

Z GRECYI.



Porucznik Tybaldos, przywódca buntu w Grecyi.

W r. 1910 bezpłatnie dla prenumeratorów „Tygodnika Ilustrowanego”

CIEKAWY POWIEŚCI

miesięcznik, poświęcony najcelniejszym powieściom i romansom polskim i obcym, wychodzić będzie od Nowego Roku 1910.

„CIEKAWY POWIEŚCI” zamieszczać będą utwory powieściowe trwałej wartości z literatury polskiej i europejskiej.
 „CIEKAWY POWIEŚCI” dawać będą co miesiąc tom conajmniej 12-o arkuszowy, oddzielnie zbroszurowany, większego formatu, ozdob. wydany.
 „CIEKAWY POWIEŚCI” dawać będą zarówno nowe utwory oryginalne autorów polskich, jako też dawniejsze wybitne powieści polskie, oraz arcydzieła literatury zagranicznej w wyborowych przekładach.
 W dziale utworów, przez dzisiejsze pokolenie zapomnianych, zamieszczają „CIEKAWY POWIEŚCI” (Tom 1 i 2) znakomitą powieść

WOŁODEGO SKIBY „NAD POZIOMY” osnutą na tle dziejów z roku 1863.

Następnie nieznaną szerszemu ogółowi światną, pełną uczucia patriotycznego powieść

ZYGMUNTA KACZKOWSKIEGO „ŻYDOWSCY” osnutą na tle wypadków ostatniego stulecia

W dziale utworów, nigdzie dotychczas nie drukowanych, ukaże się znaleziona w rękopisach autora „Kirgiza”, GUSTAWA ZIELŃSKIEGO, powieść obfitująca w niezwykle piękno historyczną z czasów napoleońskich pod tytułem „MANUELA” ności artystyczne i barwne wspomnienia dziejowe tej bohaterkiej epoki.

Z ARCYDZIEŁ LITERATURY Powszechnie

wiecznotrwałych, a z powodu zupełnego wyczerpania przekładów polskich, rzadkich dziś niezmiernie, trudnych do nabycia i wygórowanych w cenie „Ciekawych powieści” wydrukują, między innymi, szereg utworów W. Hugo, Dickensa, Dumasa (ojca), Erckmanna-Chatr. ana, Turgeniewa i wielu innych,

a przedewszystkiem WIKTORA HUGO „CZŁOWIEKA ŚMIECHU”

i KAROLA DICKENSA „KLUB PICKWICKA”.

W końcu, aby zaznajomić czytelników naszych z najgłośniejszymi nowościami powieściowej literatury świata, dawać będziemy to, co chwila przyniesie, czyniąc wybór w ten sposób, aby wzbogacać wydawnictwo nasze nie tylko dziełami modnymi, ale istotnie wartościowymi.

NIKTÓRE TOMY „CIEKAWYCH POWIEŚCI” BĘDĄ ILLUSTROWANE.

Wogóle dbać będziemy o to przedewszystkiem, aby z czasem z „Ciekawych powieści” utworzyła się biblioteczka pierwszorzędną, interesującą, artystyczną i dająca, prócz wysoce zajmującej lektury, zadowolenie estetyczne i pogląd na beletrystykę polską i europejską. Będzie to poniekąd przeglad znakomitych powieści świata.

Roczna prenumerata rub. 5, z przesyłką pocztową rub. 6.

Ozdobna oprawa 12-tu tomów „Ciekawych powieści” kosztuje rub. 2.

Redaktor: ARTUR OPPMAN (OR-OT).

Wydawcy: GEBETHNER I WOLFF.



Pomnik pastora Diehla, na cmentarzu ewang.-reformowanym w Warszawie.

Krew, to życie.

Bez krwi, bez jej krążenia w ciele, nie można wyobrazić sobie życia. W przeciągu kilku minut wszystka krew przebiega organizm ludzki. Bogactwo krwi odpowiada sile życia, małokrwistość stwierdza słabowite zdrowie.

Najważniejszymi czynnikami do otrzymania życia jest przyjmowanie pokarmu, oraz oddech. Krew łączy przeprowadzony ciało przez te dwa działania materyał i rozdziela go pojedynczym organom. Przy tem zadaniu jest naturalnie nadzwyczaj ważnem, by krew była zdrowa i w dostatecznej ilości. Jeżeli zaś jest inaczej, wtedy ukazują się objawy, które my nazywamy blednicą i małokrwistością, a które pociągają za sobą różnorodne cierpienia.

Wiadomem jest, że przeważnie kobiety podlegają tym cierpieniom. Wyjaśnienie więc, czemu jest krew i jaką ona być powinna, jest głównie dla kobiety bardzo ważnem.

Krew składa się z jasnego płynu, posiadającego pożywcze białko, oraz z niezliczonej ilości, płynących w nim, nadzwyczaj drobnych czerwonych i białych ciałek krwi. W wyżej wymienionych ważnych funkcjach odżywiania i oddychania, ma się na względzie wspomniany jasny płyn, oraz czerwone ciałka krwi.

Krew przy krążeniu w ciele dostarcza tkankom pożywe białko do dalszej przeróbki. Przy tworzeniu się mleka przez piersiowe gruczoły, przy budowie ciała i mięśni, a nawet przy uzupełnieniu substancji nerwowej, wydobywa się początkowo materyał białkowy ze krwi. Czerwone ciałka krwi posiadają osobliwy żelazno-białkowy, krwiobarwny pierwiastek (Hemoglobin). Te czerwone ciałka mają właśnie to ważne zadanie: rozdzielać w ciele dostarczony im przez oddychanie tlen z powietrza. Jak węgiel w piecu pod działaniem ciepła i wytworzeniem światła przemienia się w kwas węglany, tak również na tych samych danych otrzymuje i organizm ludzki ciepło i energię przez to, że pier-

wiastki pożywcze, spalone przez tlen oddechu, przemieniają się w kwas węglany, wydzielany następnie z oddechem.

Jeżeli zatem z powodu nienormalnego stanu zdrowia, wspomniany ów jasny płyn jest w niewielkiej ilości i niezasobny w białko, to i odżywianie tkanek ciała jest niedostateczne i niejedna utworzona tkanka zostanie strawiona, zamiast być utrzymaną i wzmocnioną. Jeśli ilość czerwonych ciałek krwi jest mała, co łatwo daje się zauważyć przez błądy wygląd skóry, to winę tego należy przypisać nośnikom tlenu; prawidłowa ich działalność umożliwia powrót życiowej energii. Skutki wyżej wspomnianego są: słaby oddech, uczucie zimna, ogólne osłabienie i niechęć do pracy. Organizm ludzki stara się pomódz przez przyspieszone bicie serca, jakby chciał przez częstsze krążenie ciałek krwi wynagrodzić ich brak.

To staje się naturalnie kosztem posiadanej siły przy zwiększającym się zużyciu organizmu i często odczuwa się, jako zastraszające bicie serca.

Jak temu zaradzić? Przedewszystkiem należy przywrócić odżywcą siłę krwi, to jest zaopatrzyć jasny płyn w odpowiednią ilość białka; wtedy wzmocniona już krew będzie przyjmowała na nowo, ze zwykłego pożywienia, pierwiastki odżywcze i sole, a nawet i dostateczną ilość żelaza. Pomoc zatem zasadza się na racjonalnem odżywianiu.

Przez złe zestawienie krwi, cierpi ogólne odżywianie, a zatem i apetyt. Z tego też powodu trzeba zastosować pewną zmianę w sposobie życia pod względem jedzenia i picia i, jeśli organizm nie jest w stanie wybrać sobie potrzebnego dlań z większej ilości zwykłego pożywienia, (wtedy niestrawione odpadki obciążają go i są przeszkodą w działaniu kiszki), należy przyjść mu z pomocą przez skoncentrowane, łatwo strawne środki odżywcze. Nie każde jednakowoż pożywienie odpowiada temu celowi; jasnym jest, że szczególnie przy osłabionych organach trawienia, co ma miejsce przy niedokrwistości, może być zastosowany środek tylko łatwo strawny, nad wyraz czysty

i wzmacniający. Powodzenie, przychylnie odezwy lekarzy oraz pacjentów wskazują najodpowiedniejszy środek do osiągnięcia tych celów: Sanatogen Bauera.

Sanatogen jest przyjmowany przez najstarszy żołądek, podlega szybkiemu strawieniu i wzbogaca krew w przeciągu krótkiego czasu najważniejszymi składowymi częściami. Przez tę odżywczo wzmocnioną krew zostaje organizm ludzki pokrzepiony, pobudzony, oraz uzdolniony do tworzenia nowej krwi. Ogólne odżywianie poprawia się i żelazo zostaje przyjmowane z pokarmów w sposób naturalny. Wzbogacenie krwi żelazem oraz czerwonymi ciałkami osiąga się właśnie za pomocą poprawionego odżywiania przez Sanatogen.

Złe trawienie oraz wadliwy gatunek krwi stoją w poważnym związku z chorobą nerwów i neurastenią. Sanatogen ze swą mocą ulepszenia i wzmacniania krwi ma jeszcze i tę właściwość, że doprowadza nerwom niezbędne dla ich trawienia i działania pożywienie.

Sanatogen zatem usuwa w sposób naturalny przyczynę blednicy i niedokrwistości: organizm przez lepsze odżywianie poszczególnych organów jest doprowadzony do tego stanu, że może się wzmacniać i radzić sobie samemu. Dlatego też znaczenie Sanatogenu, tworzenie krwi, sprawdza się wielokrotnie we wszystkich rodzajach osłabienia i znuzenia, a szczególnie w specjalnych wypadkach choroby, gdzie powrót do zdrowia zależy od szybkiego odświeżenia i odżywienia krwi, jak np. po ciężkim upływie krwi, po operacjach, w czasie połogu, po niszczących organizm chorobach i t.p.

Kto życzy sobie być bliżej poinformowany o zastosowaniu Sanatogenu, otrzyma na żądanie gratis i franco od głównego przedstawiciela Zakładów Sanatogenu na Królestwo Polskie, p. S. Karczewskiego, Warszawa, Nowo-Senatorska 4, odpowiednio zredagowaną ilustrowaną broszurę. Sanatogen Bauera jest, jak wiadomo, do nabycia w każdej aptece i składzie aptecznym.

☞

NADESŁANE.

SRODKI do ZĘBÓW

ELIKSIR, PROSZEK i PASTA
Ojców
BENEDYKTYNÓW
Opactwa SOULAC



WAŻNA UWAGA:

Flakony eliksiru Benedyktynów nie opatrzone plombą komory celnej rosyjskiej powinny być uważane za podrobione.

MODEL FLAKONU

Dostać można wszędzie.

KALODONT

NIEZBĘDNY

KREM DO ZĘBÓW

zbadany przez urzędy lekarskie.

(Wiedeń 3 czerwca 1887 r. i Paryż 3 kwietnia 1890 r.). Przy użyciu zęby pozostają czyste, białe i zdrowe.

Najlepsze naturalne „WINA CHASTA”

SKŁAD
Warszawa, Marszałkowska 101
Butelka od 40 kop. do 2.00.

G. G. LARDELLI CUKIERNIE
Fabryka Czekolady
Boduena 5 Nowy-Świat 27, Marszałkowska 68.

KSIĘGARNIA FR. RACZKOWSKIEGO W LUBLINIE, Krak.-Przedmieście 36
przeszła na własność GEBETHNERA i WOLFFA.



C. Skoryna Fabryka maszyn i kamieni młyńskich budowa młynów, Turbiny, Transmisyje i t. p.
Warszawa-Praga
OLSZOWA 14, Tel. 49.

ZDROWIE niezniszczalne można pozyskać przez ćwiczenia psychofizyczne, opisane w nowym dziele WINCENTEGO LUTOSŁAWSKIEGO p. t. „ROZWÓJ POTEGI WOLI”, wydane nakładem Gebethnera i Wolffa. Cena w oprawie rub. 1.20.

MAGAZYN KRAWIECKI
SZWAŁBE SACHS
ANGielskie PALTA, GARNITURY
KOTOWE i NA OBSTALUNKĘ
SENATORSKA 8. TELEFON 6717

LUDWIK SZUFA
KRAWIEC
KRAKOW TELEFON 871

ODPOWIEDZI

I RADY POUFNE DLA PAŃ.

K. L. w Płocku. Bardzo piękne kapelusze, podług wzorów paryskich kopiowane, ma na składzie w wielkim wyborze firma *Kazimiera* przy ulicy Wierzbowej, w domu dochodowym teatrów. Niech Pani listownie poda adres, oraz mniej więcej rodzaj, cenę i wiek osoby, a wyślą Pani pocztą za zaliczeniem. *Abarid* to ostatni wyraz nowożytnej kosmetyki.

Małopolance. Odmrożone ręce i nos skutecznie doprowadzi do normy *Gelurine*. Jest to środek, składający się z płynu, w którym się ręce moczą, i kremu, którym się na noc ręce namaszcza, konieczne są również rękawiczki kosmetyczne nie nasycane, z wentylacją. Dokładny przepis użycia dołączony do każdej dozy. Dostanie pani, tak jak wszystkie środki, zalecane przez nas, w *Perfumeryach Paszkowskiego* Marszałkowska 109 i *Perfection* Szpitalna 10. Wysyłają pocztą.

Zmartwionej. Żółte plamy na plecach i t. p. usunie najwykleszy *Lanol*. Jest to środek tani i skuteczny, trzeba rozpocząć od Nru 1, a skończyć na 3. Odrazu kupić trzy numery i po kolei wszystkie wysmarowywać na noc. W dzień obmywać mydłem *Metamorfaza*, silnie nacierając.

M. P. w Kaliszu. Na odmrożenie odpowiedź, dana powyżej, i do pani się stosuje. Co do środka na poprawienie form biustu, prosimy o adres, a odpowiedź otrzyma pani listowną. Tu brak miejsca stoi na przeszkodzie.

Niezaradnej. Gorset może Pani zamówić listownie, podając swoją miarę w centymetrach, a więc w gorsie, w pasie, w biodrach i długość frontowej brykli. Firma paryska *Dutoict*, mająca swą siedzibę w Warszawie, w domu dochodowym teatrów przy ulicy Wierzbowej, specjalnie wysłała pocztą na żądanie. Ostatnia kreacja gorset *Directoire* jest piękną formą, wygodny i niezbyt drogi. Do twarzy mydło stanowczo tylko *Neutralne*, najwrażliwsza skóra je znosi. Do mycia głowy zaś *Alkaliczne*, nie wpływa na zmianę koloru włosów. Wypadanie włosów powstrzymuje doraźnie *Tetral*. Zamiast Goldkremu używać kremu *Psyche*, bardzo tani. Ręce wybieli i wygładzi *Pâte de Prélats*.

Mme Ercédès.

BOROL

na porę zimową uznano za najlepszy ze środków, chroniących skórę rąk i twarzy od opierzchania.

PASTILLES

DE

TAMAR
INDIEN
GRILLON

PARIS, 33, RUE DES ARCHIVES.

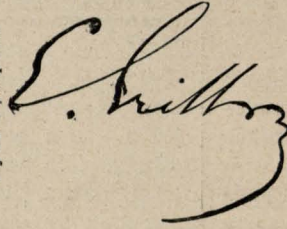
We wszystkich składach aptecznych i aptekach.

Owoc przeczyszczający

PRZECIWIW

OBSTRUKCYI

Sprzedaje się w pudełkach po 12-cie pastylek i pół-pudełkach po 6 pastylek z podpisem


MASZYNY DO SZYCIA
KOMPANJI SINGER

SPRZEDAJĄ SIĘ

WYŁĄCZNIE W SKLEPACH WŁASNYCH KOMPANJI

WYPŁATA RATAMI

OD

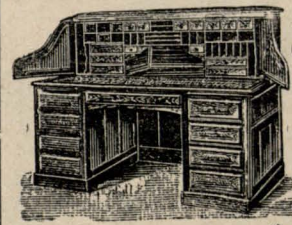
RUB. 1 TYG.

MASZYNY
RĘCZNE

OD 25 R.

WYSTRZEGAĆ SIĘ
NAŚLADOWNICTWA.KOMPANJA
SINGERSKLEPY WE WSZYSTKICH
MIASTACH KRÓLESTWA.

Oprócz wszelkich zabawek ogólnie znanych MAGAZYN FRANCUSKI ulica Hr. BERGA 8, poleca: Francuskie AEROPLANY różnych systemów, Pokoje TIRS AUX PIGEONS, Paryskie AKROBATICI na lampie, oraz dla dzieci PŁUGI I BRONY, Sanki, MASZYNY DO PISANIA, oraz PRZYBORY DO KOTYLIONA i t. p.



KOMPLETNE
Urządzenia Biurowe
KAROL F. FISER

Warszawa, Mazowiecka 10.



VENUS puder uznany na wystawach higienicznych jako nieszkodliwy i polecany dla PAŃ jako najlepszy puder krajowy.

AGATOL proszek, eliksir i pasta do ZĘBÓW o silnym aromacie i własnościach przeciwniepalnych.

FARBA GRECKA najlepsza do farbowania włosów. Cena pudełka 2 i 3 rub. Poleca Laboratorium St. GÓRSKIEGO, LESZNO 12, Telefon 52-34. Żądać wszędzie.

PIEGI przyszcze, plamy usuwa crem VENUS idealnie skuteczny środek.

L. Lipiński { Magazyn i Fabryka Wyrobów Jubilerskich Tel. 75-12. WIERZBOWA Nr 7 (plac Teatralny) w Warszawie, }

Brylanty, kolorowe kamienie i perły oraz biżuteria złota i srebrna w najnowszycy fasonach. Srebro stołowe, gładkie i stylowe. Firma egz. od 1875.

Bracia ŁOPIEŃSCY POLECAJĄ BRONZY SALONOWE I KOŚCIELNE MAGAZYN KRAKOWSKIE PRZEDMIESCIE Nr 15 Tel. 21.90

Redaktor: Dr JÓZEF WOLFF

Wydawcy: GEBETHNER I WOLFF

Redaktor przyjmuje we czwartki i piątki, od godz. 1 do 2.—Rękopisów pomniejszych i materiałów rysunkowych, nadesłanych do redakcji, nie zwraca się.

Druk Piotra Laskauera i S-ki, Warszawa.

OD ADMINISTRACYI.

Pochlebnie wyróżnioną przez ogół krytyki heliograviurę z obrazu Krzesza: „Ostatnie akordy Chopin'a (40 × 30 centym.) wysyłamy prenumeratorom *Tygodnika Ilustrowanego* w cenie po rubli 5, do dnia 1-go stycznia r. p. Cena następnie będzie podwyższona.

**GEBETHNER
i WOLFF**
PIANINA I FORTEPIANY
W WARSZAWIE
KRAK.-PRZEDM. 17



-- Pamięci --
J. Słowackiego

Oktet z opery A. Minchejmera

„Mazepa”

Ułożony na chór mieszany z towarzyszeniem lub bez fortepianu.

Partytura kop. 60
4 głosy po kop. 10

Wydawnictwo

Gebethnera i Wolffa w Warszawie
Do nabycia we wszystkich księgarniach.

Księgarnie Gebethnera i Wolffa

W WARSZAWIE,

Krak.-Przed. 15 Nowosienna 9

pośredniczą

w prenumeracie pism

krajowych i zagranicznych

po cenach redakcyjnych.

Księgarnie Gebethnera i Wolffa
w Warszawie i Lublinie
polecają:

- Szkołę -
na Wiolonczelę
K. Paschalskiego

Część I.

Z zastosowaniem początkowych zasad teoretycznych
Cena rb. 2.—

Do nabycia we wszystkich księgarniach.